Nr. 14. Lwów, Niedziela dnia 3. Grudnia 1876 r. **Tom IV.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

XIV.

„Słowo honoru."

Jakkolwiek każde dobrze zorganizowane państwo, mądremi ustawami przestrzega moralności w społeczeństwie, nie może ono jednak wniknąć we wszelkie, nawet drobne szczegóły życia społecznego. Stosunki towarzyskie reguluje państwo tylko w głównych zarysach, a na samem społeczeństwie cięży obowiązek, ażeby postępowało drogą wytkniętą bezwzględnemi zasadami moralności. Jak państwo a społeczeństwo, tak samo i moralność wobec ustaw państwowych a moralność towarzyska są to dwie różne rzeczy, posiadające zaledwie kilka stycznych punktów. Gdzie ustawa jest niewystarczającą dla życia towarzyskiego, tam społeczność ustanawia prawa zwyczajowe i wynajduje ustawami nieobjęte rękojmie moralności publicznej. Weźmy przykład. Wobec ustawy ważnem jest tylko przyrzeczenie, dane na piśmie albo ustnie w obec świadków, ale nie ma żadnej wagi nawet najuroczystsze zapewnienie, jeżeli się je da komu w cztery oczy. Ustawa więc w tym względzie nie jest, a nawiasowo mówiąc, nie może być skutecznym regulatorem moralności towarzyskiej. Dlatego też społeczeństwo obmyśliło inną rękojmię szczerości przyrzeczenia i prawdomowności. Taką rękojmią jest danie „słowa honoru", które w życiu towarzyskiem tyle znaczy, a przynajmniej znaczyć powinno, co uroczysta przysięga. Sposób ten potwierdzania prawdziwości wypowiedzianych słów, to zwyczajowe prawo towarzyskie, uznane jest przez wszystkich, a nawet często takich, którzy naruszają bez skrupułów ustawy państwowe; zdarzało się bowiem nieraz, że zbrodniarze, dla których nawet przysięga była igraszką, dotrzymywali danego prywatnie słowa. W ostatnich czasach sądownictwo nawet uczyniło z tego zwyczajowego prawa użytek i w mniejszych sprawach sędziowie zamiast przysięgi, zadawalają się podaniem ręki przez świadka, znaczącem to samo, co słowo honoru. W naszym narodzie, w którym szczególnie były szanowane prawa zwyczajowe, w dawnych czasach danie słowa znaczyło tyle, co akt najformalniej spisany. więcej nawet, bo szlachcic mający żyłkę do pieniactwa, choć dał najformalniejsze przyrzeczenie na piśmie i wiedział, że słuszność jest po stronie przeciwnika, mimo to procesował się zawzięcie, ale jeżeli dał *verbum nobile*, w takim razie dotrzymał go z pewnością. Moralność towarzyska w dawnej Polsce w takim była poszanowaniu, że z pewnością tego, któremu by dowiedziono, że złamał słowo szlacheckie, społeczeństwo wykluczyło by było ze swego grona.

Ze stopniowym upadkiem obyczajów, zaczęła także upadać świętość danego słowa, a w obecnych czasach dożyliśmy zupełnego prawie rozprzężenia w tym kierunku. Faktem jest, że nieraz można słyszeć, jak ktoś daje słowo honoru na rzecz, którą za chwilę potem odwołuje, a za złe mu tego nie biorą. Lekkomyślność pod tym względem przechodzi nieraz aż w naiwność, ale po większej części w obec towarzyskiej moralności jest zbrodniczą. I cóż sądzić o takiem społeczeństwie, które pozbyło się jedynej możliwej rękojmi prawdy w życiu towarzyskiem? Cóż sądzić o tem społeczeństwie, którego członkowie frymarczą tem, co powinno być dla nich najświętszem, własnym honorem? Zaiste zwątpićbyśmy o nich musieli, gdybyśmy nie byli przekonani, że główną w tem rolę odgrywa nie zła wola, lecz lekkomyślność. „Słowo honoru" stało się u wielkiej liczby ludzi niejako przysłowiem, którego używają po większej części niepotrzebnie i lekkomyślnie przy lada sposobności, nie zastanawiając się nad wagą, jaka leży w tych słowach. Przez takie nadużywanie tych wyrazów straciły one sakramentalną cechę przysięgi, spowszedniały i stały się tylko zwykłym frazesem, do którego odzwyczajono się przywiązywać głębsze znaczenie. Usprawiedliwia to po części nasze społeczeństwo, ale nie zmienia przez to smutnego faktu, że towarzyska rękojmia prawdy, polegająca na danem słowie honoru, której niczem innem zastąpić niepodobna, straciła wiele ze swego dawnego znaczenia.

Obowiązkiem więc społeczeństwa istniejące złe naprawić i na nowo moralność towarzyską utrwalić. Złe, które stopniowo się zakradło, stopniowo też tylko może być wykorzenione; to co przez winę pojedynczych się zepsuło, także staraniem jednostek powinno być naprawione. Potrzeba tylko, ażeby każdy człowiek dobrej woli naprzód sam nie używał lekkomyślnie słowa honoru, a skoro je da, dotrzymywał z jak największą dokładnością a następnie, ażeby karcił lekkomyślników i ludzi bez czci, frymarczących tą uroczystą rękojmią. Przykład, czy to zły czy dobry, zawsze wielki wpływ na otoczenie wywiera; starajmyż się więc, aby dobrych przykładów w tym kierunku było jak najwięcej, a z pewnością wrócimy po jakimś czasie do staropolskiego uszanowania danego słowa. Szczególnie my Polacy powinniśmy dążyć do jak największego umoralnienia i do wyrobienia zacnych i tęgich charakterów, bo na tem nasza przyszłość polega.

Kłamstwo, obłuda i lekkomyślność powinne być u nas nieznane. Starajmyż się więc wykorzenić je z życia społecznego, pod jakąkolwiek one formą występują.

ŻELIGA.

Powieść

Józefa Ignacego Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Letniego dnia jednego z południa, ludzie posłyszeli stukanie do bramy zawartej wedle zwyczaju, u której zawsze straż stała; zbliżył się do okienka odźwierny i ujrzał dwie osoby dopominające się mocno, aby je wpuszczono. Ilekroć bowiem podobne trafiły się wypadki, była dyspozycja ogólna, aby odźwierny, czym ja miał się z kim widzieć, czy nie puścił każdego, i przyjmował podróżnych; po większej jednak części mówiono, żem doma nie był. Stało się tak i tym razem, gdy król z ge-

nerałem zastukali, stary im odryglował i na żądanie wprowadził do tak zwanego *foresterium*.

Na zapytanie, gdzie pan? odpowiedziano z razu, iż w domu go nie ma.

— Otóż ja, mój kochany — odparł król odźwiernemu — ja wiem że jest i widzieć się z nim muszę, a ponieważem przewidywał że mnie tu tak przyjmiecie, macie oto gotowy list, który go natychmiast pod gardłem oddajcie.

Nie opierał się odźwierny. Byłem w bibljotece na czytaniu św. Augustyna, gdy zapukawszy, sługa mi pismo w kopercie doręczył. Poznałem pieczęć królewską, w środku na papieru karcie, jakiego król zwykle używał, stało jego własną ręką wielkiemi literami:

„Widzieć się z Jegomością, panie kasztelanie życzę.

Stanisław król.“

Przyznaję się, że mnie te odwidziny z razu nie mało skłopotały, alem natychmiast wyszedł przeciwko królowi JMości jakem stał.

Król w podwórcu opatrywał z generałem dom mój, z żywą przyglądając mu się ciekawością. Przystąpiłem doń z poszanowaniem, cały pomięszany, prosząc aby dom mój zaszczycił wstępując doń.

Foresterium bowiem znajduje się w osobnym budynku, poza moją klauzurą.

Poniatowski wesołość udawał, chociaż dostrzegłem, że ponure to schronienie, lekkiego człowieka nabawiało jakimś smutkiem, przypominając mu żywot umartwień, ale nieznany i dlań niepojęty.

Rzucał oczyma na wszystkie strony z obawą jakąś i trwogą dosyć źle tajoną, zrozumieć zapewne nie mogąc uczucia głębszego, które tu człowieka wolnego żywcem zagrzebać mogło. Generał był także jak nie swój.

Nie wiedziałem zrazu kędy ich prowadzić, bo król z cokolwiek dziecinną ciekawością, którą starał się maskować niepokój, wszystko oglądał, w każdy kątek zazierał, rozpytywał chciwie o rzecz najmniejszą. Weszliśmy do domu: począł od wielkich pochwał smaku i fantazji właściciela i budowniczego, i prosił o pozwolenie obejrzenia szczegółowo; jednę więc po drugiej izbę egzaminował, pytał, bawił się niby, ale jakoś gorączkowo, więcej dla mnie niż dla siebie. Prosiłem, abym go mógł ugościć wedle przemożenia, na co zezwolił, przyjmując jednę tylko filiżankę czokolady, która szczęściem się znalazła, generał nie pogardził posilniejszą przekąską. Zostawiliśmy go w salce jadalnej za stołem, a król pod pozorem bibljoteki odciągnął mnie na bok.

Gdyśmy sami byli, stanął milczący. Odgadłem od razu cel odwidzin, jako po chwili Poniatowski począł:

— Kochany kasztelanie, pozwól do siebie przemówić szczerze, nie jako królowi, ale jako przyjacielowi rodziny. Ani Bóg, ani świat, ani sumienie wasze nie wymagają tak srogiej pokuty, jaką sobie naznaczyłeś... Ojczyzna mało ma ludzi zdolnych, a poważniejszych umysłów, głów dojrzałych potrzebuje. Czasy są ciężkie. Wiem ja, co WMości w to dobrowolne wygnanie popchnęło, nie tajne mi są najmniejsze okoliczności, które towarzyszyły temu postanowieniu; pojmuję, że WMości samo nawyknienie do tej ciszy, mogło ją drogą uczynić, ale mamy inne obowiązki, które spełnić należy.

— Najjaśniejszy panie, odparłem, najpierwszy to obowiązek uczciwego człowieka danego słowa dotrzymać. Część znaczna mojej pokuty już wypełnioną zostala, resztę też jej dokonać muszę.

— Ale są wyższe konsyderacje — zawołał król — ujmując mnie za rekę. Trzeba gasnącą familję utrzymać. Starszy brat W. Mości już się życiu klasztornemu poświęcił i dla świata jest stracony. Imienia pięknego i zasłużonego przyszłość na WMości ramionach spoczywa, winieneś być ojcem rodziny i synem kraju. Jako król, nie roszczę sobie prawa sięgać do sumienia moich poddanych, jest to rzeczą duchownych, nie moją. Ale godzi się władza duchowna na rozwiązanie WMości z jego nierozważnych acz świątobliwych ślubów, familja się tego domaga, błaga i prosi. *Satis pro peccatis*, mości kasztelanie, powróć do nas i bądź pewien, że na dworze moim należne sobie urodzeniu i talentom znajdziesz miejsce. Jeszcze raz powtórzę WMości, czasy są takie, iż ludzi nam potrzeba...

— Najjaśniejszy panie, odezwałem się, powtóre, mało ja się na co przydam, a zbyt wielkim kosztem niepokoju sumienia przyszłoby okupywać ladajaką posługę. Od życia odwykłem, publicznegom nie kosztował wcale, mała ze mnie pociecha W. K. Mości i królewstwu, a wielkie utrapienie duszy mojej.

— Toż WMości znaczniejsza część życia tak przejdzie, a gdy termin upłynie, starym, złamanym powrócisz do świata, i już go nie użyjesz.

— Stanie się tedy wola Boża nademną, rzekłem, ale nie mam tej zarozumiałości, bym wiele osobą moją przyczyniał dobra. Podobno dziś już edukację statysty rozpoczynać zapóźno.

Król się nagle zadumał, jakby pańszczyznę odbywszy, i patrząc w otwartą księgę św. Augustyna, dodał, uderzywszy w nią ręką.

— Lepszą cząstkę obraliście! a! nie przeczę! ale pod pozorem dźwigania brzemienia wzięliście ów Ezopowy ciężar, którego, co dnia ubywa. Ażaliż na świecie żyć nie jest stokroć trudniejszą pokutą, niż w takim klasztorze? niżeli w tej trumnie? Nie łudź się WMość, dodał, zmiarkuj nie jest-li to lenistwo ducha? byś miasto ofiary nie powodował się egoizmem ubranym w pozory świętości i skruchy. Pozwól bym otwarcie to i po ojcowsku rzekł, ażali nie łudzisz się? jest-li to pokuta czy gnuśność?

— Przyjmuję z pokorą — odpowiedziałem — surowe napomnienie ojcowskie, W. K. Mości, ale na sąd Boży się zdaję... Ciężar to Ezopowy, przyznam, alem ja go sobie jak ów Ezop, z początku drogi wybrał, a cóżem winien, że mi go ubywa? Jam na to nie rachował.

— Łacniej — mówił król z uczuciem — żyć tu Waszmości z dzikiemi obłaskawionemi zwierzęty, niżeli z ludźmi, co się nigdy przyrodzonej swej dziczyzny zupełnie pozbyć nie mogą; mniej tu doświadczasz zdrady, a co najmilsza, mniej przewrotność ludzka ciąży WMości na sercu, zyskujesz więc ze wszech miar.

Tak mnie przekonywać usiłował król, nie złamał wszakże, stałem twardy przy swojem, a on zmiękł... Obchodził więc potem raz jeszcze całą ustroń dziwując się, uśmiechając, pociągnął za sobą generała, a jako to był umysł lekki, który w poważniejszym żywiole długo wytrwać nie umiał, już pod koniec tych odwidzin żartobliwego nabrał usposobienia i śmiał się z tego co mojem dziwactwem nazywał.

Na ostatek miał się ku wyjściu, a na wychodnem, zaręczając mnie o łasce swej monarszej, upewniał, że zawsze mile na dworze widzianym będę, zachęcając, abym w nadaremnym nie trwał uporze. Przeprowadzałem króla daleko za dwór mój, aż na koń siadł i pożegnał mnie. Wymógł to przecie rozkazem i powagę swoją, iż przyrzekłem raz w rok stawić się na jego dworze i choćby na dzień jeden do stolicy zjeżdżać.

Po królu zjawił się jeszcze z naleganiem O. Ignacy; namówiono znać mojego spowiednika także; zewsząd spłynęły się na mnie przekonywające dowody, żem był moją pustelnią opuścić powinien, lub w jakikolwiek sposób do życia czynnego się przygotować, które choć późno, rozpocząć na nowo byłem zmuszony.

Wyrwał mnie z pustelni dopiero smutny obrzęd pogrzebu siostry mojej i obowiązki opiekuna nad jej synem. Musiałem opuścić ukochaną już Tebaidę moją; chwilowo naówczas skłonił mnie dyrektor sumienia, abym przynajmniej pokuty się nie wyrzekając, tryb jej odmienił. Przedsięwziąłem więc jako nowicjat do życia, podróż pieszą i ubogą niekiedy tylko chwilowo powracając na stare łożysko.“

Przeszła już była burza, a księżyc na pogodne wszedł niebo, gdy p. Marcin księgę notat gospodarza złożył zadumany. Obliczał się właśnie z datami, że pokuta jeszcze w Barcinie dokonaną została, domyślił się też łacno iż ów ksiądz staruszek jeżdżący po kweście na ołtarz Jerozolimski musiał być zapewne bratem Żeligi; naostatek dumał chmurny jak się to wszystko skończy szczególniej z panną Agnieszką, dla której afekt kasztelana bardzo był widoczny. Mimowolnie wszakże historja matki kasztelana, nabawiła go niepokojem o los krewnej, która wnijść mogła do rodziny dumnej jak tamta, aby cierpieć jak ona i srodze przepłacić wyniesienie swoje.

Po rozmyśle więc krótkim, domyślając się, że zapewne panna Agnieszka jeszcze się do snu nie układała, postanowił wejść do niej i dać jej także do czytania notaty Żeligi.

Znalazł ją p. Marcin jak się spodziewał na modlitwie poruszoną tem, co we dnie widziała i czego się już bardzo domysleć mogła.

— Moja Agnieszko — rzekł p. Marcin słodząc pieprz który przynosił — trzeba asindźce jeszcze dziś trochę oczów namęczyć, i oto ten raptularz, dosyć zresztą wyraźnie pisany, z większego przepatrzeć. Są w nim

rzeczy, które jak mi się zdaje, dobrze abyś wiedziała. Dał mi gospodarz te notaty, jam je odczytał, ale miarkuję, że nie zawadziłoby je wam także przewertować, może nawet były mi udzielone w tej myśli, abym się z wami podzielił niemi.

— A! mój ojcze! to pewnie coś strasznego! zawołała ręce łamiąc panna Agnieszka, mam jakieś niedobre przeczucia.

— Już to tam asińdźka sama ocenisz— rzekł skłopotany trochę p. Marcin, ja tam sądzić o tem nie chcę. Dowiesz się z nich przeszłości człowieka, który cię jak sądzę, obchodzi. Dzieje się to nie z wyraźnej woli jego, ale i nie przeciwko tej woli, bo mi nie nakazywał sekretu i sądzę że dając to czytać, nie co innego miał na celu, tylko nas wszystkich objaśnić o powodach, które go do obrania sobie tego rodzaju życia zmusiły.

P. Agnieszka spojrzała mu w oczy, ale z nich prócz smutku nic wyczytać nie mogła; wzięła drżącemi rękami księgę, Barciński odszedł po cichu, a ona siadlszy, do białego prawie dnia, płaczem sobie tylko przerywając, cały żywot Żeligi przebiegła. Padła potem na modlitwę, a gdy z niej wstała, słońce już złocistemi promieniami wciskało się do okien domku, i ruch w pokoju pani Marcinowej dowodził że już wstawano. Wkrótce też wszedł i Barciński dla zabrania rękopismu i uląkł się znalazłszy ją poruszoną, zmienioną, zapłakaną.

Czekała już na niego p. Agnieszka i i ujrzawszy podbiegła żywo; poczęła go naprzód po rękach całować za to, że jej ten rękopism udzielił, potem się rozpłakała okrutnie.

Milczał już zafrasowany p. Marcin, starając się ją uspokoić, ale pojął co się w jej duszy dziać musiało.

— Płacz nic nie pomoże — odezwał się — mówże no mi asińdźka proszę, co na to? czego się tam temi łzami zalewacie, wszystkoć przeszło, człek odpokutował.

Pannie Agnieszce rumieniec na twarz wystąpił, bo jeszcze nigdy z p. Marcinem o swem postanowieniu i projektach nie mówiła, więc jej się nie łatwo było zdobyć na szczersze wyznanie.

— Służyliście mi sierocie za rodziców, rzekła wreszcie, jak moich własnych was szanuję. Nic nie mam, i nie chcę mieć dla was tajnego, kocham i poważam tego człowieka z dawna, niemal od pierwszej chwili, kiedy go ubogim i biednym wędrowcem w dom wasz przychodzącym ujrzałam. Milczał on długo też, ale w końcu wyznał mi, że się do mnie przywiązał, daliśmy sobie słowo wzajemnie, cóż ja teraz pocznę! — zawołała ręce łamiąc p. Agnieszka.

— A no, kiedy tak jest, pójdziesz asińdźka za niego — odparł p. Marcin.

— Nie! — odpowiedziała stanowczo p. Agnieszka — ta księga otworzyła mi oczy, nie...

— Ot dziwactwo — szepnął Barciński, ale z mowy miarkować można było, iż przekonania był innego.

— Nie, nie, nie dziwactwo — przerwała żywo Agnieszka. Sam to pan przyznasz, że w małżeństwie nierównego stanu szczęścia być nie może, bolesny przykład tego z jego życia czerpię. Tam tylko pokój i wzajemne zadowoleaie, gdzie z obu stron równo się przynosi, gdzie kondycje, urodzenie, majątek, osbie odpowiadają, ubóstwo z ubóstwem, a bogactwo z bogactwem się łączy, kiedym mu słowo dawała, nie wiedziałam wcale kim był, miałam go za równego stanu człowieka. Przekonywacie się sami z czytania żywota kasztelana, ile to nieszczęść spłynęło na jego rodzinę z powodu, że wojewoda ukochał i pojął najzacniejszą ale nierówną sobie urodzeniem niewiastę. A! panie! nie możeż to się powtórzyć na inny sposób choć mniej okrutny... i ze mną, gdybym była tak nieroztropną? Rodzina kasztelana, mimo srogich prób które przecierpiała, jest jaką była, nie zmieniła się pewnie, byłabym upokorzoną wciskając się do niej, upokorzyłabym ich narzucając się. I ja i on pozostalibyśmy odosobnionymi na zawsze, gdy właśnie jemu po długiem od świata i rodziny oddaleniu, do obojga się zbliżyć potrzeba Musi on teraz opłacać dług względem kraju i społeczeństwa zaciągnięty, ku czemu ja bym stawała zawadą. Zatem próżna myśl o tem...

Wdzięczną wam jestem, dodała, żeście mi odczytać dali jego życie. ale teraz postanowienie mam niezmienne; dalibyście wy p. Marcinie, córkę waszą na ten świat, gdzieby jej nieznane imię i małe szlachectwo nieustannie, jeśli nie głośno, to po cichu... wyrzucano?...

— Masz asińdźka słuszność, w tem coś powiedziała, rzekł Barciński, nie ma co gadać. Tak to ono jest niewątpliwie, kochać i żyć w przyjaźni należy; ale łączyć się i bratać gdzie gra nie równa, nie można... Człowiek to zacny, ale go wiążą twarde węzły z rodziną, które by się jeszcze przykrzejszemi stały, gdyby swej fantazji i sercu dogadzając, do nas się zniżył. Równiśmy, słowa nie masz, ale świat między równemi różne stopnie potworzył, a złoto je jeszcze poczyniło wyższemi, tak że wyniosłe progi nie na wszystkie nogi, zwłaszcza kto się skaleczyć nie ma ochoty.

Łzy znowu skręciły się w oczach pannie Agnieszce, gdy począwszy ściskać, opiece się jego dalszej polecała, i jemu jakoś zwilżyły się powieki.

Wszyscy już dawno byli poubierani, a Justysia którą bawiła nowość, biegała po zwierzyńcu dawno razem z sarnami, sama do sarneczki podobna, tak swobodna, rozbujała i wesoła; na odgłos dzwonka zebrali się zaraz wszyscy na nabożeństwo.

Kaplica stała tuż przy dworze, okolona jodłami, choć drewniana, ale bardzo piękna. W środku tylko jakoś wyglądała posępnie. Jeden ołtarz z Chrystusem konającym na krzyżu rzeźbionym, widać było w głębi, w pośrodku przed nim szare grube sukno, na którem przez czas mszy zwykł był leżeć krzyżem co dzień pokutnik. Miejsce to dawno już było przez niego zajęte. Na ścianach wizerunki rodziny na blachach malowane z podpisami nagrobkowemi, i prośbami o modlitwy. Byli tam ojciec, dziad, matka, siostra, szwagier, inni krewni bliżsi i dalsi. Wielkim kosztem sprowadzone z Rzymu kości jednego z męczenników pierwszych wieków, mieściły się w sarkofagu czarnym marmurowym, który zarazem menzę ofiarną stanowił.

Ze mszą wyszedł kapucyn staruszek, cała służba i czeladź była przytomną.

Po ofierze obyczajem miejscowym odśpiewano siedm psalmów pokutnych i suplikacje, na ostatek „Przed oczy twoje Panie.“ Kasztelan dopiero z ziemi powstał na kolana i jeszcze się modlił, gdy już wszyscy kaplicę opuszczali. Niespokojny o dalszą podróż swoją p. Marcin wcześnie prosił o konie, te też już zaprzężone stały przed gankiem, ale śniadanie czekało we dworze, na które i gospodarz z weselszą niż wczoraj twarzą się zjawił.

— Nie śmiem was o dłuższy pobyt prosić — rzekł — bo tu dobrze zajrzeć dla osobliwości, ale na pustyni tej zasiedzieć się, wiem najlepiej jaki smutek rodzi. O jednę jeszcze łaskę, kochanych państwa moich prosić będę i od tego nie odstąpię.

— Rozkaż co chcesz, spełnimy—przerwała szybko p. Marcinowa.

— Słowo się rzekło, — pochwycił kasztelan, trzymam was za nie. Nie zajedziecie WMość w Warszawie nigdzie tylko do mnie.

— O! o! kasztelanie kochany — przerwał stolnik — tego już nadto! nie bierz że sobie na barki niepotrzebnego ciężaru.

— Co za ciężar! dom stoi pustkami! — odparł wpatrując sie w Barcińskiego Żeliga, siedziałem ja u was tyle lat, możecie mi choć tyleż dni darować, ja od tego nie odstępuję. Daję wam przewodnika, który doprowadzi i umieści, a dziś wieczorem i ja sam będę wam służył. Już od tego nie odstępuję.

Znać było, że kasztelan niespokojnie śledził wrażenia jakie przeczytanie jego rękopismu uczyniło na gościach, postrzedz też musiał na Barcińskim pewien rodzaj pomięszania, a na twarzy panny Agnieszki ślady bezsenności i wielkiego poruszenia. Tylko pani Marcinowa i wesoła zawsze Justysia nie wiedzące o niczem były swobodniejsze, przyjazne, poufałe jak dawniej.

— Ale bo my w Warszawie długo bawić nie myślimy — przerwał Barciński— parę dni, póki się lekarzy nie poradzimy, potem w imię Boże gdzie oczy poniosą.

— Tem ci bardziej — zawołał kasztelan — musicie gospodą stać u mnie... to darmo... albo się pogniewamy.

I zwrócił się z kortezją do panny Agnieszki.

— Moja mościa dobrodziejko, rzekł, byłaś mi tak łaskawą i przyjazną zawsze, iż teraz śmiem się do niej o istancję odezwać, mając nadzieję iż poprzeć mnie zechcesz u państwa stolnikostwa...

Panna Agnieszka na tak wyraźną do niej odezwę spłonęła cała.

— Ale jakąż tu wagę pośrednictwo moje mieć może? szepnęła skromnie.

— Wielką, wielką — przerwał gospodarz.

— Zresztą — dodała spuszczając oczy panna, i ja się lękam abyśmy panu kasztelanowi nie byli ciężarem.

— A! na Boga! — zawołał ręce załamując Żeliga — takżeście zapomnieli jakim mnie znaliście! Za kogoż to mnie macie! za kogo! Tak że się to czasy i serca wasze zmieniły, dla tego żeście mnie teraz majętniejszym i głośniejszym ujrzeli, niżelim się wam przed-

*

tem wydawał! Zaprawdę przyjdzie mi pożałować owych lat szczęśliwych, kiedym u was był Żeligą, przybłędą, a dziś, dziś, dorzucił smutnie, przeczytaliście dzieje moje, i ot już serce straciliście do mnie...

— Kasztelanie, nie mówcież tak — zawołał z kolei pan Marcin — kochamy was pewnie nie mniej ani gorzej jak w on czas, ale wiemy co tobie od nas należy, a same życie twe i cierpienia więcej cię czyni dla nas niedostępnym, i szanownym niżeli imię i bogactwa

— Już mówcie sobie co chcecie, a stanąć u mnie musicie.

— Co ja, z przeproszeniem starszych, przerwała pieszczona Justysia, to doprawdy tych ceremonij nie rozumiem.

— Ani też ja... — mruknęła chętnie potakująca matka (która o rękopiśmie nic nie wiedziała), juściż mężu kochanie, jeśli pan kasztelan taki grzeczny i łaskaw, to nam tam pewnie lepiej będzie...

Nie dokończyła, spotkawszy wzrok męża, który surowo jakoś na nią spoglądał, kasztelan tego dostrzegł i nagle osmutniał.

— Róbcie jak wam dogodniej — dodał z powagą, ale mi odmową uczynicie wielką przykrość, będzie to brak zaufania, i zbytni szacunek tego, co świat czci do zbytku, groszа i imienia. Ja zaś powiadam wam, że jako was kochałem i szanowałem wprzódy, tak gdyby na was królewstwo spadło i korona na głowę, serca bym nie zmienił pewnie.

— Kasztelanie dobrodzieju — zakrzyknął p. Marcin — nie krzywdźcie serc naszych, a zrozumiejcie szacunek z dobrej, a nie ze złej strony. Zresztą, co powiesz familji i przyjaciołom gdy spytają dlaczego stojemy u ciebie gościną?

— Powiem im — zawołał kasztelan — oto są prawdziwi druhowie i rodzina moja, bo oni mnie przytulili gdym był ubogi, bez imienia, gdy posądzać mnie mieli prawo raczej o złą niżeli o dobrą przeszłość...

Nastąpiły uściski i rozczulenie powszechne, opierać się więcej nie było podobna; Barcińscy przystali, a chłopak w liberji sinej z żółtem siadł na koń, aby ich przeprowadzić do miasta.

W progu kasztelan rzekł im jeszcze:

— Nie o wiele wyprzedzicie mnie, muszę tylko pożegnać pustelnię moją, uspokoić się na duchu i pomodlić, chwila to w mem życiu stanowcza...

To mówiąc zwrócił się do p. Agnieszki kryjącej się nieco za Justysią i w rękę ją pocałował; poczuła że łzy miał na oczach, a głos którym mówił był drżący.

(C. d. n.)

Z dziedziny nauk przyrodniczych.

przez

DR. Z. ROŚCISZEWSKIEGO.

Z życia owadów.

„Natura Boga, — nieśmiertelność,— istota naszej duszy i związek jej z organizmem, pozostaną wieczną zagadką dla filozofji".

Goethe.

Mnóstwo jest owadów na świecie, które albo pożytkiem jakie przynoszą, tępiąc szkodliwe rolnemu gospodarstwu lub domowym zapasom stworzenia, albo wdziękami kształtnego swego ciała, albo wreszcie zmyślnością i rzec można, rozumem nawet, zasługują na uwagę każdego myślącego człowieka. Z pomiędzy wszystkich owadów najwięcej pod tym względem były badane błonkoskrzydłe a z nich *mrówki*, (Formicae), *pszczoły* (Apidae), *osy* (Verspae), *trzmiele* (Bombus) *termity* (Termitae) i t. p. tak z powodu w oczy bijącej zmyślności, jako też i dla tego, że człowiek z niektóremi z nich prawie powszechnie ma do czynienia; lecz i innych owadów zmyślność była nieraz celem studjów rozmaitych entomologów.

Któż nie zna mrówek, kto pracowitości ich nie podziwiał, gdy pod ciężarem znacznie większego od swojego ciała łupu pod wieczór do mrówiska wracały? W każdym lesie, na każdej łące możemy je widzieć, a stare nasze przysłowia „skrzętny jak mrówka, pracowity jak pszczoły" i. t. p. jak najdowodniej nas przekonywują, iż owady te dawno już nam są znane ze skrzętnej swej pracy. Lecz najdokładniejsze dane jakie posiadamy pod względem życia tych zwierząt, za wdzięczamy *Piotrowi Huberowi*, niezmordowanemu badaczowi życia i obyczajów europejskich ich gatunków. Znane są dziś monarchiczne rządy pszczół a republikańskie mrówek, znane ich życie towarzyskie i obyczaje, oparte na podziale pracy pomiędzy pojedyncze osobniki, ich wojny i gospodarstwo domowe — znane są badaczom; szerszej jednak publiczności te godne podziwu objawy podziału pracy mało są świadome. Nie chcemy tutaj przywodzić wszystkich objawów tyczących się towarzyskiego życia tych zwierząt, musielibyśmy bowiem całe tomy pisać, jak je pisali: Huber, Vogt, Bates, Latreile, Hanhart i inni entomolodzy, pragniemy jednak z najważniejszemi z nich obznajomić czytelnika pokrótce.

Mrówisko, to państwo nowożytnych czasów! Tam podział pracy do rajdrobniejszych szczegółów konsekwentnie przeprowadzony, obowiązkowa służba wojskowa wszystkich zdolnych do niej obywateli, ten ideał nowoczesny Moltkego i Bismarka, siła torująca drogę prawu, nadzór państwa nad wychowywaniem młodego pokolenia, słowem to wszystko od wieków tam istnieje, czem ludzkość po długich walkach i pracy w ostatnich latach dopiero poszczycić się może, a czego znów z czasem zapewne się powstydzi.

Pod względem militaryzmu, którego i Prusy mogłyby zazdrościć, najbardziej celują nie europejskie gatunki mrówek, a z nich na czele postawić trzeba mało znane dotąd gatunki południowej Ameryki. Militarnego państwa tego obywatele albo zmuszeni są żyć kosztem pracy innych gatunków, utrzymując u siebie niewolnictwo w pełni znaczenia tego wyrazu, albo też grabieżą i rozbojem się żywić. Do tych ostatnich należy sławny gatunek *Eciton* zwany. Całe państwo tych żołnierzy — mrówek na cztery oddzielne dzieli się kasty: dwie w skrzydła opatrzone t. j. samców i samic, których zadaniem dostarczać obywateli państwu, i dwie liczebnie największe kasty bezskrzydłych wojowników, którzy tak kształtami ciała jak wielkością bardzo się od siebie różnią. Małego wzrostu robotnicy, których najwięcej jest w państwie, służą jako prości szeregowcy, większego zaś wzrostu, z wielką głową i ogromnemi szczękami — to oficerowie i dowódcy dziwnej tej armji!

Warto jest poznać ten wojowniczy naród mrówek, gdy w szyku bojowym wyciągniętą linją przez pola i łąki, wzgórza i doliny maszeruje, dzieląc się na pułki i roty, którym po bokach linji towarzyszą oficerowie, wydając stosowne rozkazy i pilnując porządku. Wszelka komenda, rozkazy i rozporządzenia nie wydają się tutaj za pomocą dźwięków, lecz tak jak u innych mrówek, o ile nam wiadomo, za pomocą zmysłu dotykania i zrozumiałych ruchów rożkami, któremi sygnują zdala jak u nas służba kolejowa, lub dawnych telegrafów — rozmaite życzenia i myśli, rozkazy i rozporządzenia; a wszystko pomimo niedoskonałego tego sposobu porozumiewania się odbywa się tam w porządku i tak systematycznie, że podziwiać trzeba tę zdolność wojskową małych łupieżców.

Wędrowne te i zbójeckie bandy, na kształt dzikich hord Hunnów i Wandalów podczas wędrówek narodów, siłą i okrucieństwem opanowywują całe okolice, przebiegają je i niszczą a przez to niemałym są postrachem dla brazylijskich Indjan. Wszystko co na drodze stanie barbarzyńskiej tej zgrai, w strasznym jej pochodzie a należy do żywych istot, wszystko podlega wspólnemu losowi — śmierci i pożarciu. Pająki i owady wszystkich rzędów i rodzajów, szczególnie zaś gąsiennice ich i poczwarki, a nawet gniazda ptaków i małe ssaki stanowią ich zdobycz. Człowiek, który nieszczęściem spotka się z tym zbójeckim pochodem, w jednej chwili widzi się otoczonym niezliczoną liczbą czarnych pułków krwiożerczych wojowników, którzy z niewypowiedzianą wściekłością nagle w setki i tysiące się zbierając, rzucają się na nogi nieszczęśliwego a rwiąc i szarpiąc ciało jego ostremi swemi szczękami, okropny mu ból zadają. Jedyny ratunek dla tak napadniętego, szybko na tyły tych liliputów armji uciekać, i tam co prędzej powyrywać z ciała swego napastników. Niestety, najczęściej operacja ta się nie udaje, szczęki bowiem pozostają utkwione i powodują rany i silne puchaięcie, gdy odwłok zaledwie oderwie się od ciała rozbójnika, pozostając w ręku nieszczęśliwego Indjanina jako trofea z nierównej tej walki.

Lecz o ile strasznemi i krwi chciwemi są te hordy w wojennym swym pochodzie, o tyle wesołe zdają się być w biwuaku, gdy nasyciwszy się i będąc w dobrym humorze, wypoczywają i wygrzewają się pod gorącego słońca promieniami. Tam czyszczą sobie rożki przedniemi łapkami, tylne zaś nawzajem liżą, a wśród zabaw i często zbyt wesołych igrzysk nie raz przychodzi do pojedynczych zapasów pomiędzy składającemi te hordy wojownikami. Badanie obyczajów i zwyczajów tych małych zwierzątek, bez kwestyj należą do najwięcej zamających dla entomologów przedsięwzięć, i dla tego to zmyślność mrówek od najdawniejszych czasów jest celem ich poszukiwań. Już Plutarch przytacza w tym względzie spostrzeżenia filozofa Kleanta.

Rząd mrówek może nieraz ludziom służyć za przykład, oprócz bowiem termitów (białemi mrówkami zwanych) wszystkie ich gatunki mają u siebie formę rządu demokratycznej rzeczy pospolitej, gdzie własność jest wspólną, dzieci należą do państwa, a wszyscy obywatele mrówiska pod względem prerogatyw lub przywilejów, równi w obec praw któremi się rządzą. A choć samice posiadają skrzydła i takiemi skrzydlatemi otoczone są dworzanami, przez nich żywione i pielęgnowane, jednak za to nie mają wpływu na sprawy publiczne; rola ich kończy się z oddaniem państwu ostatniego swego ptomka. Zasługa ich jest wielką — po śmierci przez zaszczytny pogrzeb uznaną Słowem mrówek forma rządu

to ideał Platona, do którego dotąd między ludami Europy tylko jeden naród Szwajcarski doszedł! Władza w tej części narodu spoczywa, która pracą do jego dobrobytu na nią zasłużyła — w ręku ludu.

Zmyślność termitów i pszczół nie jest mniejszą, a choć rząd u nich monarchiczny, oparty na możnowładztwie, to jednak sprawiedliwy podział pracy do zadziwiających rezultatów ich wspólne starania doprowadza. Znane są wszystkim prace jakich się pszczoły w ulach podejmują, jak wybranemi murarzami jest ich kasta robocza, jakiemi kucharzami jest druga część tej samej kasty. Pilność, czynność i oględność są ich przymiotami. Są pomiędzy niemi, co za pomocą wydrążonych swych żuwaczek wysysają sok miodowy z kwiatów, a z ciała swojego, pokrytego włosem, umieją zręcznie szczoteczkowatemi u spodu nożkami, delikatny pyłek żółty zbierać, ów pyłek, który na włosach ich ciała z pylników kwiatów pozostaje, gdy je nawiedzą dla zbierania z nich pożywienia. Ten to pyłek żółty żują one i urabiają zeń dwie małe gałki, z któremi napowrót wracają do ula, by zdobycz swą złożyć i wnet po złożeniu znów udać się na wyprawę. Po drodze spotkawszy inne robotnice, z miodem wracające, odbierają od nich takowy i do ula zanoszą, a odebrawszy im go, wyprawiają znów je po zdobycz — po ten ulubiony nektar. Cały oddział nijakich czyli roboczych pszczół pozostałych w ulu, rozrabia przyniesiony przez towarzyszów pyłek a depcąc i żując go, przerabiają na tak zwany wosk żółty, z którego zręcznie budują sześciościenne rurki, zakończone trójścienną piramidą, o trzech czworokątnych ścianach. Z rurek tych ułożonych w rozmaitym kierunku, tworzą ściany trójkątne — każda z tych ścian cieniutka jak papier, a wszystkie dziwnie misternie uporządkowane tworzą komórki, w które później miód składają inne robotnice jako zapas na zimę. Osobną, większą komórkę budują one dla swej królowej, a komórka ta i kształtem okrągłym różni się od innych; do niej przylepiają dopiero inne mniejsze mieszkania, dla jej i przyszłego czerwiu mającego z nich się wyląDZ.

Z tąd widzimy jak wielkiej zmyślności, jakiego rozumu i zastanowienia potrzebują te owady, aby to wszystko wypełnić, aby odpowiednio rozdzielić pracę pomiędzy osobniki i wszystko w porządku, systematycznie, a tak dokładnie, że człowiek ze wszelkiemi swojemi przyrządami nie umiał by lepiej wykonać, ba! w wielu nawet pracach musiał by się dać prześcignąć niepokaźnemu owadowi.

Lecz nie tylko *błonkoskrzydłe* owady (Humenoptera) zadziwiają nas zmyślnością i wysokim rozwojem władz umysłowych; tysiące moglibyśmy przytoczyć przykładów ze wszystkich rzędów tych zwierząt, z których czytelnik łatwo mógłby się przekonać o większym lub mniejszym rozwoju ich psychicznym — mógłby się przekonać, że rozwój psychizmu, czyli duchowej strony zwierzęcia, idzie ręka w rękę z rozwojem ciała a szczególnie z niektóremi jego częściami. Już sławny Réaumur, matematyk, fizyk a zarazem przyrodnik wypowiedział zdanie, że „nigdy mądrość Stwórcy nie przedstawia się tak dobitnie, jak w sposobie życia najbardziej upośledzonych owadów“ — zdanie to jest w zupełności sprawiedliwe Nigdy nas nie zadziwi, choćby najwyższa inteligencja w człowieku tak dalece, jak zadziwić może objaw małej inteligencji, lecz w nędznym owadzie, w jego gąsieniczce lub poczwarce. „Natura maxime meranda in minoris“. Weźmy *chrabąszcza grabarza* (Necrophorus), gdy zagrzebuje w ziemię nieżywą mysz, lub kreta, a niemogąc sam pracy podołać, przywołuje w pomoc swych towarzyszy. W te zwłoki składa samica tego chrabąszcza swe jaja, by przyszłemu potomstwu zabezpieczyć dostatek żywności. Nie tylko samo zakopanie tego trupa i myśl o przyszłem potomstwie nas zadziwia, lecz także i wyszukanie miękkiego gruntu, w którym by chrząszcz dół mógł wykopać i przenoszenie trupa nieraz o kilkanaście kroków od miejsca, na którem był znaleziony, do wykopanego dlań grobu, przyzwanie na pomoc towarzyszów — wszystko to razem każe nam wierzyć, że grabarz myśli, że myśleć, zastanawiać się i rozważać umie. Znana jest opowieść *Gleditscha*, za którym i *Zagórski* w swyih *Gawędach naukowych* powtarza, o grabarzach, którzy znalazłszy na zatkniętym w ziemię kiju ropuchę, tak umieszczoną dla jej zasuszenia, zebrawszy się w około kija, dotąd go oglądali na wszystkie strony, dotąd rozważali nad sposobem zdobycia pożądanego łupu, aż wymyślili plan, który wykonawszy, dopięli swojego zamiaru. Oto powoli podkopywać się poczęli pod kij i dopóty mozolnie pracowali, aż się kij na ziemię obalił. Po tem zaś nietylko zakopali ropuchę, lecz nawet uczynili to z laską, jak gdyby się obawiali, aby nie była wskazówką miejsca, w którem oni skradzioną zdobycz schowali. Objaw ten nie potrzebuje komentarzy, sam z siebie aż nadto będąc zrozumiałym.

Chcąc dać jeszcze przykład zmyślności owadów, opiszemy po krótce przemysł i zmyślność *pająka*, który się zowie *ptasznikiem* (Theraphosa avicularia). Nim jednak o ptaszniku powiemy, musimy zwrócić uwagę czytelnika, że zmysł dotyku u pająków skupia się na końcach nóg, które też odpowiednio do celu są zbudowane; — to samo ma miejsce i u ptasznika tak, iż on siedząc ukryty w szczelinie jakiej, a mając jednę nić swej pajęczej siatki pod nogą, nie potrzebuje widzieć uwięzłej w niej ofiary, aby z zasadzki na nią wyskoczyć i mocniej skrępować — nie potrzebuje jej widzieć, gdyż najmniejsze drgnięcie pajęczyny odczuwa natychmiast pod nogą.

Ptasznik żyje przeważnie między zwrotnikami, a odznacza się głównie dowcipnem wygrzebywaniem sobie w glinie dziury walcowatej, głębokiej na parę cali; nie ma bowiem na tyle pajęczyny aby z niej sobie domek wybudować, jak to inne robią. Ściany tak wyżłobionego gniazdka wyściela miekką nadzwyczaj i jedwabistą swą pajęczyną, chroniącą mieszkańca od tarcia się o chropawe ściany. Lecz nie dość na tem. Gdyby kryjówka ta jego była otwartą, z pewnością uległ by napaści wroga. Dla zapobieżenia temu, robi więc z ziemi i pajęczyny silne wieko, niby drzwi, które od środka miękkiem tapetuje obiciem. Drzwi te zaiste jako arcydzieło uważać by należało; zrobione są bowiem z układanych na przemian warstw pajęczyny i marglu umieszczone na zawiasach z jedwabistej pajęczyny. Lecz chcąc być bezpiecznym od napadu, musi mieć drzwi zamykane na zamek. Otoż w miejsce zamka przewierca on kilka w kółko ułożonych otworów, a włożywszy nogi w otwory, przytrzymuje je od wewnątrz. Nie dowodziż to zmyślności a nawet rozumu tego owadu?

Pajęczyna jest to wydzielina z brodawek umieszczonych w dolnej części tułowia, która na powietrzu natychmiast tężeje, a jest tak cienką, iż na złożenie nitki tak grubej jak jedwab' do szycia, potrzeba około 18.000 nitek pajęczych; w strefach jednak równikowych pajęczyna zdarza się tak mocna, że kolibry się w nią łapią. Sieć pająka jest wyborną pułapką, do której zbudowania wysila pająk wszystkie swoje zdolności. Ma on sieć cienką, gęstą do łapania komarów, ma grubszą a rzadszą na większe owady.

Zapewne każdy przyglądał się misternej robocie pajęczyny, każdy przynajmniej miał do tego sposobność, każdy podziwiał geometryczny układ rozchodzących się ze wspólnego środka podłużnych nici i poprzecznych, idących w koło. W takiej to sieci pająk zaczajony po środku, a trzymając nogami główne jej nitki, natychmiast poczuje poruszanie zaplątanego owadu, a wtedy ruch jego choć nagły, jest pewny. Rzuca się na zdobycz w jednej chwili, chwyta ją, wysysa i ciska — a ciska dla tego, aby zwłokami zabitych stworzeń nie odstraszyć żyjącej zdobyczy od zastawionej na nią pułapki!

Z podróży po wyspach Oceanji.

Listy

Jana Kubarego.

(Ciąg dalszy.)

Podczas całej naszej rozmowy, nie mogłem zdobyć się na wyrzucenie białego z mojego terytorjum, choć znowu z drugiej strony, za żadną cenę nie mogłem pozwolić obcemu i to tak chwiejnych zasad, zostawać w mym składzie, gdzie wszystkie towary moje i zasoby były złożone. Odszukałem więc Toma w składzie.

— Mr. Tom — zacząłem do mego, jak zawsze rozciągniętego sąsiada, albo raczej lokatora — konserwacja pańska była tak interesującą, żem nie miał sposobności do pomówienia z panem o innym interesie. Na jak długi czas mam tę przyjemność mieć pana sąsiadem?...

— Przyznam się, że nie wiem, nie mogę jeszcze nic stanowczego powiedzieć — odrzekł Tom nieprzyjemnie poruszony.

— Byłoby mi jednak przyjemniej wiedzieć coś stanowczego. Nim jednak pan coś postanowisz o tem, proszę zauważyć następujące punkta: z powodu, że mam tu wiele towarów, pomiędzy któremi i proch, musisz pan wstrzymać się od palenia fajki pod tym dachem.

— Oo... o!...

— Powtóre, żaden krajowiec, ani biały, pod pozorem znajomości pana, nie powinien wejść do składu. Po trzecie, w razie jeżeli cokolwiek będzie uszkodzonem lub zniknie, uważam pana za odpowiedzialnego. Moi chłopcy mają wyraźne rozkazy wejścia czynnie w razie, gdybyś pan chciał palić fajkę i wyrzucenia jego rodzonego brata, gdyby ten się stał brunatnym.

Spojrzenie pełne gniewu i pogardy wciąż rozciągniętego Toma, były jego jedyną odpowiedzią.

Przybywszy do mego mieszkania, nabiłem mój rewolwer, przypuszczając, że Tom postanowił bezwstydem zmusić mnie do utrzymania go w mym domu. Owa bezczelność, ufna w swą siłę i przebiegłość, przyjmująca, że wszyscy są jak to Amerykańczyk wyraża „zielonemi,“ jest charakterystyczną cechą wszystkich awanturników.

Biada temu, kto da się z początku uwieść pozorom, zaufa im, lub przyjmie do domu. Z zaparciem się siebie samego pracują z początku, chcą być pomocnymi, potem co raz więcej stają

się śmielszymi, w końcu palą twój tytuń, piją twój porter, ba zaczną nawet pożyczać garderobę bez pozwolenia i zdają się być gospodarzami, a to wszystko pod pozorem przyjaźni i troskliwości, by krajowcy nie okpiwali przybysza. Ptaszków tej barwy poznałem w Samoa, gdzie zresztą są już rzadkimi. Ponepe, rozdzielona, bez władcy, nie pogańska ni chrześcijańska, jest ich rajem.

Następnego rana udałem się, aby zwidzić mój skład. Tom palił spokojnie fajkę, a na rusztowaniu siedziała obok rozciągniętego Toma, młoda i dość przystojna brunatna kobieta.

— God Morning Mister Tom.

— God Morning Mister K...

— Jak widzę, pan masz w zębach fajkę, a w fajce ogień...

— Inaczej bym nie mógł palić. Zresztą pańscy chłopcy nie przypomnieli mi zakazu.

— Aha!... — odrzekłem — pan myślisz żem na serjo dał mym ludziom rozkaz wpłynięcia czynnie na Europejczyka, sądziłem lepiej o panu. Sama myśl o możebności zapalenia składu, winna mu być dostateczną, lecz po tem o tem, a ta dziewczyna co tu robi?

— Barbara?...

— Kto taki?

— A no Barbara.

— Kto u djabła jest Barbara?

— Ta dziewczyna tu...

— Któż ona jest?

— Moją żoną... Mistres Tom.

— Aha, Mistres Barbara Tom...

Dziewczyna poczuła się coś nie swoją, widoczny niepokój malował się na jej twarzy i poczęła coś mówić z cicha po krajowemu do Toma, na co ten jednak nie zwrócił uwagi. Teraz albo nigdy pomyślałem sobie.

— Tom!

— Sir!

— Jak myślisz... wiele stóp jestem długi?

— Myślę że coś około pięciu stóp — odrzekł znacząco.

— Rzeczywiście jestem krótki, naturalna więc rzecz, że nie potrafię robić długich historyj; obaj jesteśmy białymi i przykroby mi było użyć kija, jako ostatecznego środka do naszego porozumienia się.

— Kija!... — wybuchnął Tom zrywając się ze swojego miejsca. — Kija! Sir! Kija! — dodał zawiązując rękawy swej bawełnianej koszuli.

— Tom... siedź spokojnie, lub stój jeźli ci tak wygodnie, ale słuchaj — przerwałem mu łagodnie.

— Słyszałem już... Kija!? zobaczymy... szykuj się...

— Jestem przyszykowany... a jeźli nie kija to... i lufa rewolweru skierowała się ku piersiom napastnika.

— Ja jestem poddanym królowej Wiktorji! — wrzasnął Tom — ja pana zaskarżę przed pierwszym manofwarem o grożenie Anglikowi.

— Ale bezwstydnemu, będziesz mógł dodać. A teraz słuchaj mój chłopcze. Jak sześć stóp jesteś długim, tak bajecznie jesteś głupim, przypuszczając, że byłem „zielonym.“ Jesteś mi niewygodnym i lepiej by było, gdybyś wrócił na swą plantację, a najlepiej gdybyś opuścił Ponepe na okręcie, przeprosił listownie ojca, powrócił do Anglji i stał się człowiekiem. By ci ułatwić zdeternizowanie się, zawiadamiam cię, że dzisiaj napiszę do obydwóch misjonarzy, kapitana i innych białych, że dałem ci trzy dni czasu do swobodnego urządzenia się po za obrębem mojego domostwa. Czwartego dnia znajdę się w potrzebie dania rozkazu moim drabom, aby cię wyrzucili, a gdybyś stawiał opór, wystrzelę ci w łeb, i dla tego gdyby przyszło do tej ostateczności, nikt mnie nie obwini o zabójstwo. A że dotrzymam słowa, możesz się przekonać od kapitana... który cię będzie mógł także zapewnić, że jestem tylko około pięciu stóp długi. Weź to do serca mój chłopcze i so long!...

— All right! Było wszystkiem co mnie doleciało. O prawdziwem pisaniu do kogoś nie myślałem, sądząc, że Tom stanie się rozsądnym.

Tego samego dnia przybył posłaniec z listem od misjonarza W.... Otworzywszy go znalazłem następujące słowa:

K... dnia... Miesiąca 1873.

Szanowny Panie!

Właśnie dochodzi mnie wiadomość o pańskiem przybyciu na tę piękną i obiecującą wyspę. Witaj mi. Dzieło nasze idzie w jednym kierunku i mam nadzieję, że w harmonji dojdziemy do celów. My pracujemy dla Boga, Pan dla nauki. My staramy się krajowców zrobić lepszymi, Pan mądrzejszymi. Z chęcią bym przybył odwidzić pana i pomódz mu do urządzenia się, ale oczekuję naszego misjonarskiego okrętu i moją rodzinę. Nie racz mijać mego domu bez wstąpienia, jest on zawsze gotów na Twe przyjęcie.

Z szacunkiem

J. S. W.

Zadziwiony taką grzecznością ogólnie potępionego człowieka, odpisałem stosownie i udałem się na okręt, gdziem spotkał kapitana, witającego mnie ze znaczącem mróganiem oka. Łatwo mi było to sobie wytłumaczyć, w kajucie był Tom, który na mój widok wstał z kanapy i przywitał grzecznem „Good day Mister K.“ za które mu oddałem jeszcze grzeczniejsze.

W kilka dni miał odejść okręt, miałem więc wiele zatrudnienia, to pakować naturalia idące do Europy, to pisać listy, to wygodniej urządzić dom, musiałem więc prawie ciągle być w składzie.

Jednego poranku, gdy Tom grzecznie mi zaproponował pomagać w zamykaniu skrzyń, weszła jego niby małżonka i rzuciła koszyk z liści kokosu, na owe rusztowanie, będące dla Toma podłogą, stołem i łożem. Przykra woń krajowego „mar,“ zgniłego chlebowego drzewa, mnie doleciała. Było to jego śniadanie. Spokojnie zasiadł do niego i spożywał. Barbara tymczasem usiadła na progu paląc fajkę.

Zadziwiony patrzałem na Toma, który to spostrzegł i zrozumiał me myśli. Ujrzałem policzki jego w purpurze i z widocznem bolesnem wzruszeniem krajał żeglarskim nożem ową mizerną potrawę. Poznałem żem był niezręcznym i zadałem ból młodzieńcowi nie zupełnie zepsutemu, z którego mógł być jeszcze użyteczny człowiek.

Gdybym go teraz zaprosił na śniadanie, tylkobym pogorszył sprawę, musiałem więc udać obojętność, pomimo że sam byłem smutnie wzruszony i opuściłem go, zostawiając w jego sercu najstraszniejsze żądło, poczucie własnego poniżenia, życia z łaski krajowców.

Wróciłem do siebie, ale śniadanie nie smakowało mi, choć nie miałem przed sobą przykrowonnego „mar.“

Wracając do składu, spostrzegłem Toma nad brzegiem tuż płynącej rzeki, piorącego swe koszule. Barbara kończyła śniadanie składające się z resztek, które Tom zostawił. Skończywszy zapaliła fajkę i rozciągnęła się na tem co poprzednio było stołem. Tom prał dalej i niedługo rozwiesiwszy dwie dziurawe jak przetak koszule, i podeszłego wieku odzienie, wszedł do składu, gdzie ja właśnie skończyłem ostatnią skrzynię.

— Come on Tom! — zawołałem — musim po naszej pracy zażyć szklaneczkę porteru. Zasłużyliśmy obaj na nią.

Tom nie bardzo chętnie towarzyszył mi i zasiadł na jednej skrzyni, kapelusz leżał obok niego. Musiałem się w duchu uśmiechnąć, gość mój stał się najrozsądniejszym człowiekiem. Zapaliwszy nasze fajki, zaczęliśmy rozmowę, jakby zupełnie nowozapoznani.

— Co to znaczy Mister Tom — zacząłem — że sam musisz sobie prać koszule, gdy twa żona leży jak długa w składzie?

— Jest to tutejszy zwyczaj — odrzekł uśmiechając się z przymusem Tom — kobieta nie pierze ani gotuje dla swego męża.

— Do djabła! — musiałem wykrzyknąć — cóż ona więc robi?

— Czyta misjonarskie książki i nabożne pieśni, kąpie się dziesięć razy dziennie...

— To ostatnie przynajmniej jest najpraktyczniejszem i nieodzownem — wtrąciłem śmiejąc się, przypomniawszy sobie, że nie spotkałem nigdy kobiety bez gąbki, którą zawsze od rana do nocy nosi i nocą nawet obok swej głowy ją kładzie.

— Co za czyste niewiasty, szkoda tylko, że za idealne — zauważyłem. — Czy nie sądzisz pan — zapytałem dalej — że byłoby lepiej dla białych, gdyby czarne ich żony łatały im odzież i koszule i prały, aby były białe, i gotowały nieco lepsze jadło?

— To nie jest „ponepe fathisz“ — odrzekł — tutejsze kobiety są tylko do jednej rzeczy przydatne i wyłącznie tylko do niej się zobowiązują.

— Oh!... wnoszę więc, że są bardzo wierne i poświęcone, dziwię się zatem, że pan nie przyuczasz swej żony do europejskiego zajęcia. Kobieta, która kocha, czyni wszystko dla swego męża.

— Lecz nie na Ponepe — odparł Tom. — Naprzód kobieta tu nikogo nie kocha i nic, tylko swą gąbkę i fajkę. Przyuczyć ją możnaby tylko przy pomocy pięści, jeżeli, co się rzadko zdarza, biały jest silniejszy od niej. W razie jednak, gdyby chciał użyć nad nią takiej powagi, po pierwszym razie ucieknie ona do domu swych rodziców. Wierną jest również tylko w chwili, gdy jest wierną, i takiej samej wiary wymaga od męża.

— Po jakiegoż więc czarta brać taką gadzinę? — zapytałem zdziwiony. — Czyż nie ma innych, dobrych?

— Barbara jest jeszcze z lepszych, jest ona córką naczelnika i przynosi często pokarm, czego nie czynią wszystkie.

— Zgoda więc — zakończyłem naszą dziwną rozmowę — pijmy nasz porter, lepszy niż ponepskie białogłowy (sic).

Tom pożegnał mnie bardzo grzecznie i poszedł. Czwartego dnia od owej chwili napomnienia, ujrzałem go we drzwiach z tłomoczkiem pod pachą.

— Haloo Mr. Tom, gdzież się pan wybierasz?

— Na pokład i przychodzę panu życzyć goodby...

— Na pokład? — zapytałem zdziwiony.

— Tak, na pokład. Niech djabli wezmą Ponepe, płynę do Samoa, może mi się uda dostać agenturę, lub inne jakiekolwiek zajęcie.

— Brawo Tom! Najszczersze życzenia moje powodzenia dobrych zamiarów będą panu towarzyszyć, a na dowód tego, wypijmy za twoje zdrowie i pomyślność butelkę portu!

Zetknąwszy nasze szklanki, spotkałem jego spojrzenie. Nie było w niem śladu gniewu albo zawiści, przeciwnie, zdaje mi się, że tam podziękowanie można było wyczytać. Nie chciałem jednak wypuścić go choćby z ukrytą niechęcią, przeto wyciągnąwszy doń rękę rzekłem:

— Mister Tom, mam nadzieję, że nie weźmiesz mi za złe moje nieco krótkie i suche postępowanie, wiesz, że to Pacifik, i...

— Przeciwnie panie! — przerwał mi żywo, lecz drżącym nieco głosem — jestem ci wielce obowiązanym...

— A to za co?

— Żeś mnie pan obudził! — i uściskawszy mi serdecznie i silnie rękę, zniknął.

Tom pożaglował i nie wiem co się z nim stało, ale nim odpłynął, opowiedział mi w jaki sposób go obudziłem. Było to niejako podziękowanie z jego strony i to do tego bardzo dla mnie cennem, gdyż dotąd żaden biczkumber nie zakłócił mi pokoju w domu, a ci, których spotykałem kiedy niekiedy, zdaleka wołają: Good Morning Doctor! (C. d. n.)

Franciszek Karpiński i jego poezja.

napisał

JÓZEF TRETIAK.

(Ciąg dalszy).

Zabrawszy z sobą dwa chleby, wykradł się Karpiński od swojej gospodyni i udał się na puszczę, którą tym razem była pewna dąbrowa w pobliżu Stanisławowa. Tu miał powoli przy chlebie przyzwyczajać się do tego, aby potem wyłącznie żyć żołędzią. Trzy dni trwało to życie pustelnicze, czwartego dnia mały pustelnik zauważył, że się nie zdoła przyzwyczaić do żołędzi i powrócił do domu, gdzie najlepsze jego chęci nie znalazły najmniejszego uznania i rózga znów była w robocie. Nie odebrała mu jednak zupełnie chęci do odznaczenia się na polu wiary. I tak chciał raz iść na Wołoszczyznę i łżyć Mahometa, ażeby go Turcy tam umęczyli, to znów chciał uciec do Częstochowy i tam zostawszy grajkiem w kapeli kościelnej, służyć tym sposobem N. P. Częstochowskiej. Trzeba bowiem wiedzieć, że lubił muzykę, szczególnie grę na skrzypcach, i bardzo chciał się jej uczyć, ale ojciec jak nauki języka francuskiego tak i tej gry zabronił, uważając to za dodatki dla katolickiego szlachcica niepotrzebne.

Były to jak wiadomo czasy, w których wychowanie narodu znajdowało się w najopłakańszym stanie; głęboka noc panowała jeszcze na tem polu, jakkolwiek na krajach widnokręgu pokazywał się już pierwszy brzask jutrzenki umysłowego odrodzenia narodu. Karpińskiemu nie danem było korzystać z nowego, orzeźwiającego prądu wychowania. Jezuickie szkoły stanisławowskie, do których go oddano, były jeszcze owemi szkołami, w których przytłumiano w młodzieży wszelką samodzielność umysłu, i nabijano jej głowy formułkami bez treści i ducha. Sam Karpiński powiada o sobie: „Cztery lata*) uczyłem się filozofji głupiej, perypatetycznej a na ten czas powszechnej, traciłem czas młodości mojej najlepszej... Moja perypatetyka jak nikomu, tak i mnie pożytku w życiu nie zrobiła.“ Sucha, ciężka, formułkowa nauka, zdolną była tylko odstręczyć wychowańca od wiedzy i trzeba było wielkich zdolności aby ich nie zagłuszyła. Młodzieńca zaś, w którym się takie zdolności okazały, starali się zwykle Jezuici zatrzymać przy sobie, chociażby pod innemi względami, to jest pod względem bogactwa, wpływu i parenteli nie zalecał się im niczem. Takim był właśnie Karpiński. Ubogim był wprawdzie szlachcicem, i bez koligacyj, ale że posiadał wielkie zdolności, które zwycięzko przeszły próbę ogłupiającego systemu wychowania, więc zaczęli go namawiać Jezuici, aby wstąpił do ich nowicjatu i został Jezuitą. Słodko umieli przemawiać i zręcznie trafiać do przekonania, roztaczając przed młodą ambicją**) widoki świetnej przyszłości. Byliby go zapewne do siebie przyciągnęli, jak to zrobili z tylu innymi talentami, gdyby się nie był znalazł inny, silniejszy magnes, w postaci młodej dziewczyny.

Właśnie gdy go Jezuici ciągnęli w jednę stronę, pociągnęły go w przeciwną stronę oczy pięknej i cnotliwej córki kapitana saskiego, Marjanny Bröseliówny. Była to pierwsza a wczesna miłość Karpińskiego (nie miał jeszcze lat 17) i zbudziła w nim drzemiący dotąd talent poetycki. Do niej to napisał pierwszą swoją sielankę pt. „Tęskność na wiosnę do Justyny;“ takie jej imię bowiem nadał w poezji. Dziewczyna serdeczną wzajemnością odpłacała miłość poety, „po całych prawie nocach ze mną — powiada Karpiński — rozmawiać i bawić lubiła,“ ale tak była skromną, że za niedyskretny całus ze dwa tygodnie gadać z nim nie chciała. Szkoda, że się nie ożenił z nią Karpiński, choć może był dla niej za młody, bo nie użalałby się w starości na osamotnienie, nie byłby się czepiał klamek pańskich i oszczędził by był sobie wielu zawodów, a kto wie, może w zaciszu rodzinnego życia i talent jego szczęśliwiejby się rozwinął i więcej wydał wonnych kwiatów. Ale cóż kiedy panna była uboga i poeta ubogi, a jej i jego przyjaciele nie omieszkali odradzać tego małżeństwa, tem bardziej, że się pannie bogate trafiało zamęście. Pod wpływem tych rad oświadczył Karpiński ze łzami w oczach pannie, aby szła za jego rywala. W początkach łzami tylko odpowiadała, a potem rzecze: „Ja się dla ciebie prząść nauczę i grzędę kopać będę;“ „jużem się do niej wracał, i byłbym tego nie żałował, ale jej i moi przyjaciele przemogli, którzy mi zyskowniejsze chcieli obmyśleć małżeństwo.“ Skończyło się na tem, dzięki owym przyjaciołom, że Karpiński, żeby zupełnie zapomnieć o niej i jej dać o sobie zapomnieć, opuścił Pokucie i wyjechał do Lwowa na słuchanie teologji (1758).

*) Kurs filozoficzny właściwie trwał trzy lata (Łukaszewicz I. 250), a poprzedzało go pięć klas szkolnych: infima, gramatyka, syntaxis, poetyka i retoryka.

**) „A mają na to swoje dziwne namowy, powiada Broscyusz w Gratysie plebańskim, któremi miękuchne serca młodzi tak uwodzą gładko, skutecznie, że trudno się lada komu obaczyć, wielkiej na to potrzeba w rzeczach i postępkach ludzkich eksperiencji; na co owe częstowania cukrami, dozwalania rekreacji po medytacjach niegwałtownych; więc owe nabywania serc dziecińskich przyszłą sławą: będziesz potem apostołem do nowego świata, będziesz świętym, będą cię malować z promieniami od głowy pochodzącemi; któremi namowami młody człek.... jako się nie ma zmiękczyć.“ (Łukaszewicz I. 260.)

Około tego czasu*) umarł mu ojciec. Był to jak wiemy starzec surowy i jak każdy szlachcic dawnej daty wiele od dzieci wymagający, umiał przecież gorącą miłość wzbudzić dla siebie we Franciszku. Dwunastoletnim jeszcze będąc chłopakiem, chciał Franciszek ratować życie ojca, wyzwanego na pojedynek, i ostrzył szabelkę, aby ukradkiem napaść na przeciwnika ojcowskiego i zabić go. Na pół roku przed śmiercią ojca dał mu dowód prawdziwie synowskiej pokory. Oto pewnego rana ojciec, chodząc po pokoju, przystąpił do Franciszka z kimś rozmawiającego i ni ztąd ni zowąd wyciął mu ciężki policzek. Franciszek znając dobrze surowe wymaganie ojca, ani słowem, ani ruchem nie zdradził żalu i niechęci i w milczeniu ze spuszczonemi oczyma czekał końca tej sprawy. Wówczas ojciec rzucił mu się na szyję, i powiedziawszy, że chciał tylko doświadczyć jego pokorę, ukląkł pośród izby i zaczął go błogosławić. Teraz w chwili skonu ojca nie było Franciszka w domu, i tylko przez matkę zalecił umierający, pan Andrzej, synowi, aby szedł zawsze prawdą na świecie. Rozpacz syna, gdy przyjechał, była tak wielką, że nie dano mu nawet być na pogrzebie.

Ale prędko oschły młode łzy po kochance i po ojcu wśród nowego życia, w jakiem się znalazł Karpiński we Lwowie. Lwów oddawna słynął z hucznych zabaw swoich i wesołego życia, a w czasach porozbiorowych na bardzo nawet smutną sobie pod tym względem zarobił sławę. Młodzieniec zdolny, piszący wiersze i już trochę znany jako poeta, mile był witanym i narobił wkrótce dużo znajomości. Bywał u Wacława Rzewuskiego hetmana W. K., który także pisał wiersze, a był już wyznawcą francuskiego smaku, u Ignacego Cetnera, wojewody podolskiego, co się kochał w ogrodach, poznał właśnie księżnę Jabłonowską, wojowodzinę bracławską, co się nauką odznaczała i umiała nieraz tak zagadnąć Jezuitów, że języka w gębie zapominali. Ale obok tych znajomości, z których mógł odnieść jakiś pożytek, czy to pod względem wykształcenia, czy towarzyskiej ogłady, nie brakło i innych mniej pożytecznych, jak np. z ową dewotką Tamburini, co świętą udawała, a pozwalała się całować.

W drugim roku teologji u Jezuitów lwowskich, którzy wówczas szkołę swoją wynieśli na stopień Akademji (1759), zamianowany przez nich został Karpiński doktorem nauk wyzwolonych i filozofji i bakałarzem świętej teologji. Szumnie to brzmiało, ale pod biretem doktorskim mało było pożytecznej nauki. Bądź co bądź niebawem (1762) studja były ukończone**) i potrzeba było sobie obrać zawód, nie miał bowiem Franciszek własnej roli, którąby powróciwszy mógł orać spokojnie, chwile swobodne poświęcając muzom. Raz jeszcze starano się go zwabić do stanu duchownego; sam arcybiskup lwowski wzywał go do siebie i namawiał, ale Karpińskiemu zanadto się uśmiechały roskosze życia świeckiego, których niestatecznie miał używać, aby się dał był namówić do duchownej niewoli. Obrał sobie zawód adwokacki, ponieważ był ubogim, a palestra wówczas świetne obiecywała zyski. Umiał nieźle po łacinie, i prędko doszedł do wielkiej biegłości w pisaniu pozwów i manifestów, a złotówki gęsto mu się sypały do trzosa.

*) Porów. str. 31 z 35 Pamiętników Karp. wyd. 2. Lwów, 1849.

**) Kurs teologiczny trwał cztery lata. Łukaszewicz I. 249.

Wiadomo, jak smutnym był stan sądownictwa w Polsce za Sasów i Stanisława Augusta. Najgorszą pod względem przedajności sławę pozyskała palestra lwowska i demoralizujący jej wpływ prędko się okazał na Karpińskim. Opowiada on, jak raz pewien szlachcic przyszedł do niego z najgorszą sprawą, prosząc o napisanie pozwu. Młody adwokat wysłuchawszy szlachcica, tłómaczył mu, że sprawa nie do wygrania, ale szlachcic odpowiedział na to argumentem w postaci kilkunastu czerwonych złotych, które ofiarował za napisanie jak najbardziej wykrętnego pozwu. Przyjął Karpiński, napisał pozew, jak żądano, bo mu się uśmiechnęły dukaty, które wśród wielko-miejskiego życia można było wymieniać na tyle przyjemności i rozrywek. Ale niebawem ruszyło się w nim zobojętniałe sumienie. Przypomniał sobie surowego ojca i jego ostatnie słowa: „Franciszek niech idzie prawdą na świecie.“ Wstyd go oblał, wszystkie dobre uczucia i wspomnienia zaprotestowały w nim przeciw popełnionej niegodziwości i domagały się zadośćuczynienia. Karpiński postanowił sobie, jak przyjdzie kadencja sądowa, zwrócić pieniądze szlachcicowi i zmusić go do pogodzenia się z przeciwnikiem, i zrobił to w istocie, a spostrzegłszy na jak śliskiej znajduje się drodze, po roku porzucił palestrę i pojechał na Pokucie dla odwiedzenia matki i rodzeństwa. (C. d. d.)

Przekleństwo wieszcza.

Ballada z Ulanda.

Stał niegdyś. w dawnych czasach, wyniosły, dumny gród;
Widniał przez wszystkie kraje do sinych morza wód,
W około wonny ogród kwietne kobierce słał,
Perłowy w nim wodotrysk blaskami tęczy siał.

Tam siedział król potężny gdzie tron złocisty lśnił,
Siedział ponury, blady, wszystkim postrachem był;
Bo grozą jego myśli, spojrzeniem wściekły gniew,
A co przemówi — kaźnia, a co napisze — krew!

Dwaj wieszcze w gród ten spieszą, Cherubów mają głos;
Jeden w kędziorach złotych, drugiego srebrny włos —
Starzec gęśl dzierży w dłoni, rumak go niesie w skok,
Przy nim towarzysz młody żwawy przyspiesza krok.

Starzec rzekł do młodego: „Bądź gotów synu mój!
Wspomnij najgłębsze pieśni, najczystszy gęśli strój;
Zbierz wszystkie siły twoje: ból i radości szał,
Bo dziś poruszyć mamy królewskie serce z skał.“

Już stoją obaj wieszcze gdzie arkad pyszny łuk;
Na tronie król z królową w przelicznem gronie sług,
Król — ni to groźnie piękny zórz w północ krwawy blask,
Królowa — słodka, tęskna, ni to jutrzenki brzask.

Zadzwonił starzec w struny, srebrny wydały jęk,
I pełniej. coraz pełniej, płynął do ucha dźwięk
Młodzian lał pieśń tak słodką jak z nieba, zkądś z za chmur;
Głos starca mu wtórował jak głuchy duchów chór.

Śpiewali miłość, wiosnę, miniony złoty czas,
I męstwo bohaterów, wolność i wierność wraz;
Śpiewali wszystko słodkie — co pieści serce, słuch,
Śpiewali wszystko wielkie — co wznosi ludzki duch.

Nie słychać żadnych szyderstw w gronie dworaków, sług;
Dumnych rycerzy króla ukorzył pieśni Bóg;
Królowej lśni się w oku słodkiej tęsknoty łza,
Pąk róży rzuca wieszczom, łono wzruszeniem drga.

— „Niedość żeś lud mój uwiódł, żonę chcesz uwieść ty?...“
Woła król wściekły w gniewie, na całem ciele drży,
Miecz swój w młodzieńca ciska... już piersi przeszył błysk!
Z nich, miasto złotych hymnów — wybucha krwisty trysk.

Jak od wichru zdmuchnięty cały słuchaczów rój...
Młodzian na mistrza ręku ukończył życia znój;
Ten go otula płaszczem, sadza na konia lęk,
Opuszcza zamek z grozą, tłumiąc boleści jęk.

Lecz przed wyniosłą bramą, bard stary wstrzymał się,
Uchwycił lutnię swoją, z rozpaczą struny rwie,
I o słup marmurowy w proch ją roztrzaskał on,
I ryknął, aż odbrzmiało echo z dalekich stron:

— „Biada wam pyszne mury! Niech nigdy słodki dźwięk
Nie zabrzmi w tych sklepieniach! i nigdy struny jęk!
Niech tylko płacz, westchnienia, brzęk kajdan razi słuch,
Aż was na rum, gruz martwy, rozgniecie zemsty duch!

Biada wam kwietne gaje! Wieczny was skryje mrok!
Widzicie tego trupa zgaszony jasny wzrok?...
Obyście przezeń poschły! niech wsiąknie każdy strug!
Obyście skamieniały! płodziły cierń i głóg!...

Biada, morderco podły! Po trzykroć biada ci!
Daremne twe zabiegi o laur kąpany w krwi!
W noc wieczną zapomnienia utonie imię twe,
Jako na wiatr oddane ostatnie tchnienie mdłe!...“

Starzec klątwę wygłosił — niebo nań miało wzgląd:
Już mury leżą w gruzach, i w zgliszczach arkad rząd,
A z licznych kolumn, jedna poświadcza dawną moc,
I ta już dziś pęknięta, runie za lada noc.

A w koło miast ogrodów, głuchy się ściele step —
Ni drzewa cieniu nigdzie, ni rosa padnie z nieb;
Króla nie głoszą księgi, ni złota bardów pieśń,
Bo wieszcza klątwą: pustka — i zapomnienia pleśń!

Iza.

Gabryel Conroy.

Romans

BRET HARTA.

Tom drugi.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ IV.

Kartka z przeszłości.

List Artura do jego wspólników zawierał krótkie wyjaśnienie spóźnienia i kończył się następującem zleceniem:

„Poszukajcie w archiwum dokumentu o posiadaniu, lub ustąpieniu prawa własności, na imię niejakiego dra. Devarges.“

Zaledwie list ten zapieczętował, wszedł Diego już gotów do podróży. Po jego odejściu Artur z niecierpliwością czekał przybycia donny Dolores. Ale ukazała się tylko ceremonialna postać majordomo o ciemnobrunatnej cerze i sztywnie trzymająca się, która niemym znakiem zawezwała go, by poszedł do pokoju, dla niego przygotowanego.

Zgodnie ze zwyczajem zaprowadzonym w hiszpańsko-kalifornijskiem budownictwie, aby słońcu dawać jak można najmniej przystępu, pokój ten był długi, niski i skąpo oświetlony; dwa zakratowane okna, po obu stronach drzwi, wychodziły na korytarz i podwórze; w ścianie przeciwległej znajdowało się inne małe, wąskie okienko, przez które Artur mógł widzieć szeroką oświetloną słońcem równinę. Ostry, jednobarwny blask zewnątrz, nie przenikał do tej, jakby klasztornej izby. Nawet wiatr niezmordowanie i bezustannie owiewający nagie mury, nie dawał się ni czuć, ni słyszeć, wśród poważnej samotności tej ascetycznej celi.

Szczególną sprzeczność z taką klasztorną barwą, przedstawiał pewien hiszpański przepych. W niszy zasłoniętej firankami, na wielkiem mahoniowem łóżku, leżała żółta jedwabna kołdra, pysznie wyszywana w różowe i purpurowe jedwabne kwiaty; atłasowe prześcieradła i poszewki obszyte były szerokiemi cennemi koronkami. Po obu stronach łóżka, i przed wielkiem krzesłem z poręczami, rozesłane były grube dywany; przed ogromnym kominem leżała skóra niedźwiedzia, nad kominem zaś, stał krzyż ze słoniowej kości, złotem przeciężony. Obok niektórych współczesnych sztychów, ściany były zawieszone obrazami świętych i męczenników.

Szczególne wrażenie wywarło na Arturze to, że nie wielka ilość świeckich malowideł przedstawiała same tylko śnieżne krajobrazy: hospicjum św. Bernarda w zimie, wąwóz w austryackim Tyrolu, stepy rosyjskie, równiny norweskie; wszystko to sprawiało, że w wyobraźni Artura temperatura pokoju znacznie się zniżyła.

Mała akwarela, przedstawiająca kwiatek alpejski, zajęła go tak mocno i tak szczególnie, iż zdało mu się, że widzi go kwitnącym.

Podczas obiadu, na którym donna Dolores nie ukazała się, kazawszy przeprosić i oświadczyć, że jest cierpiącą, usługiwano mu w najzupełniejszem milczeniu. Kuzyn zmarłego don Jose Salvatierra przedstawiał rodzinę, przyprawiając ucztę łagodnym dymkiem cygarety, i uwagami nad dawniejszemi wypadkami.

Artur, rozczarowany z powodu nieobecności donny, przypatrywał się temu gentlemanowi z pewnym rodzajem cierpkości, i czuł w sobie jakieś nieokreślone usposobienie do usuwania wszelkich napomnień, na interesa swej klientki. Gdy jednak obiad skończył się, a on nie spotkawszy donny Dolores, palił w korytarzu cygaro, począł gniewać się na samego siebie, iż przystał na jej zaproszenie — i powody, które go do tego skłoniły, poddał ostrej krytyce. Obmyślał właśnie odwrót — nawet odwiedzenie pani Sepulvida, gdy weszła Manuela.

— Czy don Arturo teraz udzieli dalszych rad donnie, zapytała i zaszczyci ją swoją obecnością?

Don Arturo czuł, jak rumieniec na twarz mu występował; wiedział on, że w tej chwili rady jego nie będą zalecać się szczególną bystrością i głębokością, pomimo to, lekko skinąwszy głową, poszedł za Indjanką.

Weszli do tego samego pokoju, w którym po raz pierwszy spotkał donnę Dolores. Można było prawie przypuszczać, że donna wcale nie zmieniała od samego rana położenia swego na sofie.

Gdy z uszanowaniem podszedł bliżej ku niej, uczuł ten sam miły zapach co przedtem; ciemne oczy błyszczały tak samo tajemniczo i pociągająco i mimowolnie prawie musiał się w nie wpatrywać.

— Nie bardzo wysoko stać będę w opinji pana, don Arturo; w jego kraju kobiety są tak silne i czynne, a ja jestem tak słaba, tak bezsilna i... tak leniwa! rzekła donna Dolores; ale jestem pacjentką i jeszcze nie zupełnie przyszłam do siebie. Zresztą to przyzwyczajenie. Długie dnie, don Arturo, przeżyłam tu w leniwej bezczynności. To wyniszcza, prawda? Takie czuwanie, takie wyczekiwanie dzień po dniu, zawsze jednakowe, te same!...

Było coś tak słodko uskarżającego się, tak łagodnego w tonie jej głosu — co zresztą można także przypisać pewnego rodzaju miękkości kastylskiego narzecza w ustach kobiecych, co jednak

Artur jej tylko samej przypisywał — że w pierwszej chwili nie odważał się podnieść na nią oczu, chociaż dobrze czuł, że wzrok jej na niego jest utkwiony. Ale wrodzone poczucie pewności siebie wzięło górę i podbudzony niem, przemówił do wachlarza, po za którym twarz się ukrywała:

— Więc pani jesteś cierpiącą, zapytał:

— Cierpię i znoszę don Arturo.

— Czy nie próbowałaś pani jako środków uzdrawiających zmiany powietrza i trybu życia? Przy tak znacznym majątku, i gdy pani nie potrzebujesz uwzględniać stosunków rodzinnych, ani przyjacielskich — łatwo dałoby się to przyprowadzić do skutku, mówił dalej zawsze ku wachlarzowi zwrócony.

Ale wachlarz, jak gdyby namagnetyzowany jego wzrokiem, stał się zalotnie niezdecydowanym, zachwiał się, a potem złożył swe skrzydła. Artur stracił pewność siebie.

— Być może, rzekła donna Dolores, kto wie?

Zatrzymała się na chwilę, potem skinęła na Manuelę. Indjanka wstała i wyszła z pokoju.

— Mam panu coś powiedzieć, don Arturo, ciągnęła dalej; coś takiego co powinna byłam powiedzieć jeszcze dziś rano. Ale i teraz nie jest zapóźno. Jestto tajemnica i tylko wątpliwość czy mam prawo wyjawić ją panu, ale nie powątpiewanie o jego honorze, powstrzymało mię.

Artur podniósł oczy i spojrzał na nią. Teraz ona uniknęła jego wzroku. Opuściła długie swe rzęsy i tak mówiła dalej.

— Pięć lat temu, gdy ojciec mój, niech nań niebo będzie łaskawe, żył jeszcze, pewna młoda dziewczyna, Amerykanka, obca i bez żadnej opieki, przybyła do nas do presiadio San Geronimo. Uciekła ona z jednego obozu zatraconego w górach śnieżnych, gdzie ginęła z głodu jej rodzina i przyjaciele. Taką historję opowiedziała mojemu ojcu. Jak pan sądzisz, czy miało to prawdopodobieństwo za sobą?

Artur skinął głową, nic jednak nie odpowiedział.

— Nazwisko wszakże, które sobie nadała, nie było, jak się zdaje, jej nazwiskiem rzeczywistem. Ojciec mój wysłał ekspedycję by ludziom tym podać pomoc, i osoba której imię ta młoda dziewczyna, ta obca, podała za swoje, znaleziona została między umarłymi. Tak było w raporcie. Imię znalezionej umarłą młodej dziewczyny i imię tej która przyszła do nas, były jednakowe — Gracja Conroy.

W twarzy Artura nie drgnął ani jeden muszkuł; ani na chwilę nie odwrócił on oczu od opuszczonych powiek donny Dolores.

— Był to wypadek ważny, ciągnęła dalej, bardzo ważny. A tem większe wzbudził zdziwienie, że dziewczyna z początku nazwała się innem imieniem, imieniem Gracji Ashley... Ashley, jak później nadmieniła, był tym młodym człowiekiem przy którego pomocy uratowała się — utrzymując zpoczątku, że jest jego siostrą... Ojciec mój był to człowiek dobry, uczynny, święty człowiek, don Arturo. Nie obchodziło go to, czy młoda dziewczyna jest Gracją Ashley, czy Gracją Conroy — dla niego dość było wiedzieć, że żyje, że jest wycieńczona, bez pomocy, cierpiąca. Wbrew radzie swego urzędnika, przyjął ją do własnego swego domu, do własnej swej rodziny, do własnego swego serca, w oczekiwaniu powrotu brata, czy tego Filipa Ashley. Po sześciu miesiącach zachorowała... urodziło się dziecię, don Arturo, ale zaraz umarło... i matka także. Oboje, rozumiesz pan, oboje umarli... na mojem ręku.

— To źle się stało, rzekł Artur krótko.

— Nie rozumiem, rzekła donna Dolores.

— Proszę mi przebaczyć. Niech pani nie tłumaczy sobie opacznie moich słów. Mówię, że było to źle, ponieważ mam wszystkie powody do przypuszczania, że ta dziewczyna, ta tajemniczo nieznajoma o dwoistem nazwisku, była w samej rzeczy Gracją Conroy.

Donna Dolores podniosła w górę oczy i ostro utkwiła je w Artura.

— A to jak? zapytała.

— Ponieważ sprawdzenie tożsamości trupa przez ekspedycję, uczynione było pospiesznie i niedbale.

— Zkąd pan wiesz o tem?

Artur wstał i podsunąwszy swe krzesło nieco bliżej do pięknej swej klientki, usiadł i rzekł:

— Pani byłaś łaskawa zwierzyć mi się z ważnej tajemnicy. Pozwól że mi, że udzielę jej tajemnicy równie ważnej, abym okazał tem, jak wysoko cenię zaufanie pani. Ja wiem stanowczo, że uznanie tożsamości dokonane było pospiesznie i niedbale, ponieważ sam byłem przy tem obecnym. W raporcie wyprawy, jeżeli go pani dotąd nie czytałaś, znajdziesz pani wymienione imię pewnego porucznika Artura Poinsett. To ja byłem.

Donna Dolores wyprostowała się siedzący.

— Dlaczegoż nie powiedziałeś mi pan tego pierwej? zapytała.

— Ponieważ nojmocniej byłem przekonany, iż pani wiesz, że jestem porucznikiem Poinsett. A powtóre dla tego, żem nie sądził, byś pani nie wiedziała, że Artur Poinsett i Filip Ashley są jedną i tą samą osobą.

Wchodząc do tego pokoju nie miał on najmniejszego zamiaru robić to wyznanie. Ale jeden rys jego natury, którego nie próbował stłumić, spowodował go do tego. Nie doznawał on mianowicie ani wstydu, ani obawy przed jakiemikolwiek skutkami swych wyrazów. Teraz dumny, świadomy siebie i zadowolony z siebie, wychylił się w krześle. Powierzchownie nie mógł być spokojniejszym, a wewnętrznie bardziej wzburzonym. Więcej jeszcze: w zachowaniu się jego było coś jakby obrażona godność, gdy nie dając siedzącej przed sobą kobiecie, oniemiałej ze zdumienia, czasu do opamiętania się, wstał i powiedział:

— Teraz możesz pani osądzić czy zaufaniem obdarzyłaś człowieka niegodnego. Teraz poweźmiesz pani decyzję o zachowaniu się swem w obecnym wypadku prawnym. Teraz będziesz pani widzieć, czy jestem właściwą do popierania jej pretensyj osobistością. To tylko mogę powiedzieć, że gotów jestem wystąpić, albo jako jej świadek dla ustanowienia tożsamości rzeczywistej Gracji Conroy, albo jako jej doradca prawny, albo jako jeden i drugi. Gdy poweźmiesz pani postanowienie w tym względzie, to proszę zawiadomić mię o dalszych swych rozkazach, lub dać mi odprawę. Aż do tego czasu — adios!

Ukłonił się, niezmiernie grzecznie i oddalił się. Gdy donna Dolores wyszła ze swego osłupienia, już drzwi zamknęły się za nim.

Ubóstwiający sam siebie młody gentleman, przyszedłszy do swego pokoju uczuł się — przykro mi, iż muszę to powiedzieć — do pewnego stopnia umysłowo, i jeżeli mam użyć tego wyrazu, moralnie podniesionym tą rozmową. Więcej jeszcze: znajdował się on teraz w lepszym humorze aniżeli w jakiejkolwiek chwili, od czasu jak tu przybył. Gdyby znalazł konia swego, to dla użycia ruchu i dla dania pięknej swej klientce czasu do powzięcia postanowienia, odbyłby długą przejażdżkę po niskich wzgórzach. Ale właśnie była chwila siesty popołudniowej i z tego powodu dziedziniec był pusty. Poszedł ku bramie i spojrzał na równinę. Gwałtowny wiatr objął niebo i ziemię w niepodzielne posiadanie. Coś podobnego do tego niepokoju ozwało się w jego duszy. Szybko spojrzał na korytarz, przez chwilę wahał się, gdy wtem w odległej części domu usłyszał szmer otwierających się drzwi — co łatwo mogło oznaczać, nowe zawezwanie przez donnę Dolores — i wyszedł za mury. (C. d. n.

O potrzebie rozwoju przemysłu małego czyli drobnego w Galicji

napisał

JAN NEP. Z OLEKSOWA GNIEWOSZ.

(Ciąg dalszy.)

Jedynie w Dębowcu i Andrychowie tkactwo z zadziwiającą wytrwałością broni się jak może, aby praca która kilka wieków przetrwała, dzisiaj nie upadła zupełnie; obie miejscowości zamieszkałe przez ludność mrówczej skrzętności, zasługują by dziś, gdy głosy coraz goręciej nawołują do pracy, pospieszono im z pomocą.

Pomocą, ale spieszną powstrzyma się straszny rodzaj epidemji, która dotąd sporadycznie wyrywała i wyrywa ofiary, a w ostatnich czasach przybiera rozmiary nawet zastraszające. Mam tu na myśli emigrację ludową, która w okolicy Dębowca, w powiecie jasielskim, setki do Ameryki pociąga, a podług ostatnich wiadomości zasięgniętych na miejscu i tkacze Dębowieccy zaczynają już emigrować fatalnym prądem porwani i zmuszeni okolicznościami niepomyślnemi. Nie będzie więc od rzeczy, jeżeli podamy kilka szczegółów o Dębowcu.

Dębowiec cieszył się dawniejszemi czasy lepszą pomyślnością; albowiem od kilku wieków słynął i słynie z wyrobów płóciennych. Nie dziwnem było Dębowczanom zaspakajać potrzeby magnatów polskich albo na dwory monarchów dostarczać swoich sławnych wyrobów. Są ślady, że płótna dębowieckie szły na Wschód i razem z pszenicą Wisłą do Gdańska. Węgry, jeszcze w ostatnich nawet czasach — robiły znaczne zamówienia.

Lecz nie tylko płótna i stołową bieliznę ale i droższe natenczas tkaniny produkował Dębowiec. Słynął szczególniej z pajęczej delikatności tkanin znanych pod nazwą *„rąbków“*, w które się kapłan ubierał gdy podnosił Sanctissimum przed ludem; panna młoda zamiast dzisiejszym welonem, okrywała się „rąbkiem“, którego brzegi i końce były haftowane jedwabiem i złotem. Rąbki Dębowieckie miały taką sławę, że przybywali do nas umyślni nabywcy dla zamówień hurtownych do Francji i Anglji. Jak wieść niesie, sztukę wyrabiania rąbków miała przynieść kobieta powracająca z jassyru. Jeszcze do r. 1846. tkactwo w Dębowcu jako tako wegetowało; wtedy było w ruchu z górą 1300 warstatów — dziś liczba i 600 nie wynosi.

Dębowiec wyrabia płótna od 12 do 40 zlr. za sztukę. Obecnie jeszcze licząc bardzo umiarkowanie, że jeden warstat wyrobić może z wielką łatwością przeciętnie 60 sztuk rocznie, to gdyby tkacze dębowieccy znaleźli poparcie, dostarczy-

łby co rok do 36.000 sztuk rozmaitych płócien. Ponieważ zaś ceny takowych wynoszą od 12 do 40 złr. zaznaczywszy tedy kwotę przeciętną na 20 złr. za sztukę, Dębowiec mógłby uzyskać ze sprzedaży sumę 720.000 złr. w. a. — W tych latach jednak zaledwie jedna czwarta się wykonuje i sprzedaje i to z tak małym zyskiem, że wytrwałość tkaczów zaczyna się łamać, a gdy dawniej z dziada pradziada każdy się tego rzemiosła uczył, dzisiaj obywatele Dębowieccy oddają dzieci do innych rzemiosł, nie widząc pomyślności dla nich w tkactwie przy teraźniejszych stosunkach.

Zarobek robotnika pracującego do 15 godzin, wynosi prócz wiktu tylko 10 ct. dziennie. Z czegoż wyżywi czeladnik żonaty rodzinę? Nie wolno nam tu tkaczy dębowieckich posądzać o wyzyskiwanie pracy — oni więcej płacić nie mogą chcąc utrzymać konkurencją obcych, główną przyczynę złego zaraz tu wykażemy.

W Dębowcu nie znane są dotychczas kołowrotki, lecz legendowe wrzeciona. Prządki, chociaż doprowadziły umiejętność do doskonałości, nie mówiąc już o przędzeniu maszynowem, kołowrotkowi miejsca nie dotrzymają. Pomimo tego, nasza przędza ręczna może na długi czas jeszcze wytrzymać współzawodnictwo z przędzą maszynową. Bo niech tam kto jak chce proteguje przędzę maszynową, my jednak tego zdania nie podzielamy, znając manipulację jedną i drugą. Włókna bowiem przeznaczonego na przędzę ręczną używa nasz przemysłowiec w całej długości jak jest ze surowego materjału wyprawione. Natomiast do przędzy maszynowej włókna chociażby najdłuższe, szarpią się czyli grępcują na rodzaj waty, przy której to manipulacji można dodać taniej bawełny, a przy ręcznej przędzy manipulacja ta jest prawie niemożebną, skutkiem czego unika się nieuczciwości i fałszerstwa.

Tkacze dębowieccy, z wyjątkiem kilkunastu, używają dotychczas warstatów, jakiemi się posługiwali ich pradziadowie i ojcowie. Czółenko z nicią poprzeczną bywa ręką posuwane, przez co najbieglejszy tkacz potrzebuje na wyrobienie jednej sztuki płótna 6 do 8 dni czasu; przeciwnie zaś gdyby mieli ułatwione nabycie warstatów poprawnych z tak zwanemi „sznellami“ tj. że ruch łódki przesuwającej nić poprzeczną odbywa się nie ręką lecz zapomocą mechanizmu, czas na wyrobienie sztuki płótna skróciłby się o połowę.

Teraz następuje najtrudniejsza operacja, która właśnie dochody naszych tkaczy zabija, — tj. blichowanie czyli bielenie i apretura, czyli maglowanie. Otóż w tych wypadkach manipulacja używana dotychczas nie da się już pod żadnym względem zastosować. Znane powszechnie dawne blichy naturalne nastręczają tak wiele trudności i straty czasu, że wykończenie staje się znacznie droższe i nie może być jednolite. Z tych powodów tkacze nasi posyłają wyroby swe do blichu i apretury do Bielska i Frydka na Szlązku, a wydatek na jedną sztuką *nie licząc nawet transportu tam i z powrotem wynosi pięć złotych reńskich w. a.* W przeciwnym zaś razie, gdyby taki Dębowiec lub Andrychów miał własne blichy jakie są w używaniu i apreturę, koszta te zredukowałyby się na 1 złr. 50 kr. od sztuki płótna.

Co do płócien grubych nie bielonych, które Korczyna, Ciężkowice, Jasienica i Błażowa rozsyłały po całej monarchji, a szczególniej dla potrzeb armji, dzisiaj niestety dzieje się przeciwnie, bo dla półków konsystujących w Galicji znaczna część tych płócien przychodzi z Czech, gdzie nasze włókno przerabiają.

Nie wolno nam tu nie wspomnieć o sąsiednim Dębowcu, Żmigrodzie, gdzie przez kilka wieków słynął przemysł, że tak powiem artystyczny, bo tkanin i haftów złotem, srebrem i barwnemi jedwabiami. Handel aparatami kościelnemi rozszerzał się nie tylko po całej ziemi polskiej, lecz sięgał Wschodu aż do Jerozolimy.

Pyszne ozdoby szmuklerskie złotem i srebrem, jakich wówczas przy ubiorach używano, wyrabiali Żmigrodzanie. Oprócz tego szczycił się swą doskonałością wyrób złotem tkanych czepców dla kobiet i pasów szczególniej z nici srebrnej i jedwabiu. Podziśdzień zachował się zwyczaj w Dębowiu i okolicy, że gdy umrze obywatel tam zrodzony, towarzysze niosą trumnę do grobu na pasach srebrnych, które rodzina jak relikwie przechowuje.

Z jakąż więc łatwością dałoby się tam gdzie tradycja i ślady tych haftów i tkanin jeszcze się zachowały, wskrzesić analogiczne hafciarstwo i inne tym podobne produkcje.

Zwinięcie komisji zaopatrywania armji w Jarosławiu jest nietylko wielkim błędem, ale grzechem, jakiego się c. k. rząd względem Galicji dopuścił. Z powodu tego muszę i tym razem powtórzyć, że gdyby z tych kolosalnych sum, które Sejm tak często z powodu przednowków, wylewów i t. p. wotuje, a które faktycznie nie tylko już korzyści lecz najmniejszej ulgi nie przynoszą, chociaż jedna czwarta część była używaną na podniesienie przemysłu domowego, nie bylibyśmy zbiorowo takimi nędzarzami jak jesteśmy.

To wszystko co się powiedziało o tkactwie, możemy powiedzieć o garbarstwie a szczególniej białoskórnictwie, chociaż tu ta korzystna zachodzi różnica, że gdyby tylko jedna lub dwie szkoły fachowe we wschodniej i zachodniej Galicji dały wskazówki do postępowej produkcji, to każdy przyznać musi, że zamiast bezcennych miljonowych wywozów nie tylko tysiące rąk znalazłyby zatrudnienie, lecz i miljony wpływałyby do nas za wykończony wyrób. (C. d. n.)

NINA.

Obrazek z życia

przez

ZOFJĘ R.

(*Ciąg dalszy.*)

W przyległym pokoju dały się słyszeć kroki.

Nina spiesznie otworzyła książkę, i wpatrzyła się w nią, jak gdyby była zatopiona w czytaniu. Konstanty wszedł sam.

— Wiesz Nino, Juljusz przyjechał.

— Tak, czy istotnie? Sama nie wiedziała dlaczego nie powiedziała mężowi, że wie o tem.

— Proszę cię każ nam herbatę dać w mojej kancelarji.

Nina nic nie odpowiedziała. zadzwoniła na służącego po raz drugi, i powtórzyła rozkaz. Wzięła znowu książkę do rąk niby czytając. Konstanty zebrał cygara leżące na stole, pocałował żonę w czoło, i wyjaśniwszy nieporozumienie z listami wyszedł.

Juljusz do obiadu nie zaprezentował się pani, od drugiego śniadania wymówił się.

Przechadzał się z Konstantym po ogrodzie. Nina patrzała na nich z okna salonu.

Gniewało ją, że musiała przyznać, że Juljusz odznacza się piękną budową i zgrabnemi chociaż poważnemi ruchami. W tych kilku godzinach nie widząc jeszcze swego gościa, źle się już przeciw niemu uprzedziła. Przedstawionego przy obiedzie, powitała grzecznie ale trochę wyniośle. On na to bynajmniej nie zwrócił uwagi. Rozmawiał najwięcej z gospodarzem domu, a jeżeli Nina wzięła udział w rozmowie, słuchał grzecznie, odpowiadał w kilku słowach, i zwracał się znowu do Konstantego.

Wstawszy od stołu, podał jej ramię, przeprowadził do salonu, posiedział jeszcze chwilę niezbędnie potrzebną by nie uchybić etykiecie, i oddalił się do swego pokoju.

— Ale wiesz Konstanty, że ten twój pan Juljusz będzie nudnym gościem w domu, niemówiący i nielubiący towarzystwa, miła zabawka na cztery miesiące!

— Ale cóż chcesz moja droga, ciebie jeszcze nie zna, zmęczony z drogi, noc całą jechał...

— Ależ nie mam żadnej pretensji by mnie bawił, pierwsza lepsza książka zabawniejsza od niego!

— To mu przynajmniej przyznać musisz, że piękny jak mało mężczyzn.

— Nie przypatrzyłam mu się.

Nie było żadnej tego potrzeby, a przecież Nina nie powiedziała znowu prawdy przed mężem, gdyż bardzo dobrze przypatrzyła się jego ciemnym, pięknym i rozumnym oczom, bujnym i ciemno blond i falisto układającym się włosom, szerokiemu i pogodnemu czołu, a nadewszystko miłym w układzie ustom, okolonym wąsami i brodą, tego samego koloru co włosy. Przypatrzyła się całemu wyrazowi twarzy, na której malował się niczem niezmącony spokój; w brwiach gęstych i równych zsuwających się często, dostrzegła przecież czegoś co zdradzało siłę i wolę, źle licującą z biernym spokojem który cechował jego rysy. I ta właśnie sprzeczność nadawała całej fizjognomji dziwnie zajmujący wyraz. Nina powiedziawszy mężowi „nie przypatrzyłam mu się“ nie kryła tem wrażenia, jakie by mógł piękny młodzieniec zrobić na niej; musiał się podobać, gdyż był istotnie piękny, nie było w tem nic przecie nagannego. Ona przeciwnie, tem powiedzeniem okazać mu chciała swoje lekceważenie.

Dlaczegóż Nina ciesząc się przybyciem jako rozrywką w sromotnem wiejskiem życiu, będąc przez męża najlepiej o nim uprzedzoną, zraziła się tak bez przyczyny? Wszystkie kobiety zrozumieją, a szczególnie popsute hołdami świata.

Oto widziała, że nie zrobiła na nim wrażenia, że nie spieszył jej poznać, a poznawszy nie schylił czoła przed jej wdziękami.

Kilka dni minęło bez żadnej widocznej zmiany w zachowaniu się Juljusza. Nina przed mężem ani go ganiła, ani chwaliła.

Po tygodniu powiedziała sobie z rodzajem rozdrażnionego uporu:

— O! on się musi zakochać we mnie. Zobaczymy czy mu pomoże powaga i obojętność jego! Tknięta już była do żywego miłość jej własna, najsilniejszy bodziec ludzkiej naturu. W jednych jest on bardzo wyostrzony, w innych niejako tępszy, naciśnięty przecież, każdego dotkliwie ukole. Ta jednak zachodzi różnica, że w każdym gdzie indziej jest umieszczona sprężyna która go porusza.

Juljusz od kilku dni rozpoczął swoją pracę, największą część dnia przebywał za domem, przedwieczorne godziny spędzał już w towarzystwie

gospodarstwa. Dotąd Nina oczekiwała poufalszego zbliżenia z jego strony, powiedziawszy sobie jednak: „On się musi zakochać we mnie“ pierwsza zaczęła wchodzić na stopę poufałości, pozbyła się sztywności krępującej ją dotąd, z powodu niezadowolenia z gościa.

Przybrała ton familjarny, cieplejszy; widząc go czasem zmęczonego, troskała się z czułością dobrej siostry, prosząc by tak wiele nie pracował, pamiętała o gustach jego, i często uśmiechała mu się mile, mówiła przy obiedzie lub herbacie:

— Kazałam zrobić tę potrawę, gdyż uważałam że pan ją lubi.

Okazywała mu tysiące drobnych oznak przychylności, dowodów, że i w czasie niebytności jego w domu pamiętała o nim. Istotnie, w czasie przebywania jego na polach i w lasach, myśl jej była tem zajęta, co mu dziś powie, gdy go wieczór powita, jakie słówko cieplejsze rzuci, jako przywabiający haczek.

Juliusz ujęty tem „gościnnem,“ jak się wyrażał w myśli zajęciem się sobą, uczuł wdzięczność dla pięknej gospodyni, i w ciągu kilku tygodni stosunek ich stanął na stopie przyjacielsko zaufałej. Pan Konstanty bardzo był rad że żona straciła uprzedzenie do jego przyjaciela.

Nina w tym czasie pisała do pani Jakóbowej.

„20 Czerwca 186* Droga moja, najdroższa Milo!

Otóż mój pan inżynier już się potrochę oswaja, jest już na poły obłaskawiony, nie myśl przez to że podjęłam się tej niewdzięcznej pracy z zupełnie dzikim człowiekiem, nie on tylko jednostronnie był dzikim, to jest nielubiącym kobiet, gdyż strona światowa i salonowa bardzo w nim ukształcona. A co mnie najbardziej drażniło. to to, że zdawało mi się, iż do mnie w szczególności ma jakąś antypatję; nigdy nie spojrzał, nigdy nie zagadał pierwszy, a gdy tylko mógł, to jest gdy tylko wypadało, wynosił się z moim mężem na cygara, a mnie samą zostawiali. O czyż mogłam pozostawić taki stosunek i nudzić się całe lato. Teraz już jest inaczej; teraz choć Konstanty wychodzi wezwany jakiem zajęciem gospodarskiem, pan Juliusz zostaje i bawi mnie najpiękniej w świecie. Wczoraj ze dwie godziny chodziliśmy sami po ogrodzie rozmawiając, i wyobraź sobie wyniosłam z tej rozmowy to przekonanie, że w stosunku naszym trafiła kosa na kamień, z tem zastrzeżeniem, że kamieniem ja pozostanę zawsze, a kosa? — kosa może się nadwerężyć. ale to jeszcze problema, które mnie zaciekawia i bawi jak się rozwiąże. Ach! widzę już, jaką siostrzyczka moja robi minkę nieukontentowaną i gniewną, jak wykrzykuje: Ach cóż to za trzpiot niepoprawny! mając już przecie syna, mogłaby się ustatkować. A propos syna, ma już dwa ząbki i zaczyna sam siedzieć. Ale wracam do pana Juliusza, i muszę ci opowiedzieć naszą wczorajszą rozmowę.

Powrócił wcześniej jak zwykle, Konstantego nie było w domu, wyjechał w sąsiedztwo. Ty wiesz, że on wziął na siebie trudny obowiązek — źle się wyrażam, gdyż to nie jest jego obowiązkiem, chociaż go tak uważa — wydźwignięcia z ruiny fortuny poczciwej pani Tomaszowej. zajmuje się tem bardzo gorąco, i często w jej interesach wyjeżdża. Jak wiesz mąż zostawił ją w znacznych długach, Konstanty chce je spłacić, gdyż inaczej zlicytowaliby jej majątek, a ona z liczną i drobną rodziną zostałaby bez kawałka chleba; sam przecież nie może, przenosi to siły jego materjalne, zwłaszcza przy wydatkach jakie teraz łożyć musi na budowę młyna parowego. Pożycza więc od owego sąsiada, do którego wczoraj jeździł, na swoje imię, i opłaca długi ciążące na majątku pani Tomaszowej. Majątek jej bierze w administrację i powiada, że za lat 10 odda go dzieciom czystym, syn jej najstarszy będzie już wtedy pełnoletnim. Przyznasz, że opieka ta nad wdową nie jest jego obowiązkiem, ale że jest czynem szlachetnym i zacnym, godnym mego Konstantego! O moja Milu, bądź zupełnie spokojna o mnie, prawda że nie doznawałam nigdy dla niego tych uczuć Romeowskich, ale cześć, uwielbienie i duma jaka przepełnia moją duszę na myśl, że jestem jego żoną, zastąpi je najzupełniej! Otóż wczoraj Konstantego nie było w domu, i my we dwoje przepędziliśmy cały wieczór. Chodziliśmy po ogrodzie, księżyc świecił prześlicznie, rozmawialiśmy o rozmaitych a rozmaitych przedmiotach, nareszcie nie wiem zkąd do tego przyszło, zapytałam go, czy się kochał już kiedy?

Musisz wiedzieć, że jesteśmy już z sobą na stopie poufałej przyjaźni, i zapytanie to nie było tak bardzo rażące śmiałością, (której zresztą nie zbywa mi zupełnie) jak się tobie zapewne wyda. Przecież widocznie nie spodziewał się go, gdyż zmięszał się bardzo, co mnie niesłychanie ucieszyło, udało mi się przecie wyprowadzić tego spokojnego człowieka z jego spokoju, po chwili odpowiedział:

— Nie pani, nie kochałem nigdy!

— To być nie może — zawołałam — do tego wieku?

Jest moim rówieśnikiem, kończy 29 lat we wrześniu. On się uśmiechnął, ale jakoś tak smutnie, że chociaż wstydzę się tego, żal mi go się zrobiło, i pomyślałam sobie: Minąłeś się z prawdą, ale ja jej dojdę.

— Ani studentem? Ani akademikiem? — śmiejąc się indagowałam go w tonie żartu.

— Nie pani — powtórzył poważnie. A po chwili dodał:

— Zbyt smutny przykład miałem przed oczyma, abym dobrowolnie narażał się na takie cierpienia, a może i na tak smutne następstwa, jakich byłem świadkiem...

Tak mi się jakoś dziwnie zrobiło, gdym moje zdanie, prawie własnemi mojemi słowami usłyszała wymówione, że czułam, iż teraz kolej zmięszania przyszła na mnie.

— Jakto? — wymknęło mi się bez chęci — to pan nie własnem doświadczeniem zrażony zostałeś do kobiet?

— A jakże pani wie, że jestem do kobiet zrażony? — zapytał mnie, patrząc mi przenikliwie w oczy. A taki wzrok ma przenikający, takie mu jakieś dziwne blaski z ciemnych oczu świecą, gdy jest czem poruszony, że ja, chociaż wiesz, że skłonna nie jestem do tego, zawsze czuję się zmięszana, gdy wzrok jego spotkam.

— Tak mi się zdawało — odpowiedziałam.

— I słusznie zdawało się pani. Zrażony jestem do kobiet na zawsze...

A potem jak gdyby sobie przypomniał, że mówi z kobietą, zwrócił się cały do mnie, a wyciągając rękę, nie z galanterją, ale z żywym zapałem zawołał:

— Szczerość moja niech będzie pani rękojmią, iż zaliczam ją do kobiet, którym wyłącznie cześć i uwielbienie się należy.

Nie kocham się w nim przecież, a wyznam ci droga Milu, że te słowa zwrócone do mnie a tak szczerze, tak gorąco wypowiedziane, bardzo mile zabrzmiały mi w uszach, i na chwilę zdawało mi się, że istotnie jestem lepszą, wyższą istotą niż inne kobiety. Skarciłam się jednak natychmiast za tę pychę, a tylko w duszy mojej zbudziła się serdeczniejsza przyjaźń dla niego za to, iż patrzy na mnie z tego stanowiska. To darmo, takiemu uczuciu wdzięczności żadna się nie oprze. Oddałam mu serdeczny uścisk ręki, dziękując za pochlebne wyrazy, i aby nie dać upaść rozmowie, gdyż byłam niepohamowanie ciekawą, co go rzeczywiście doprowadziło do tego zrażenia, rzekłam:

— Ktoś bardzo bliski panu musiał doświadczyć tych smutnych kolei, gdy pan tak bardzo wziąłeś to do serca, iż znienawidziłeś cały rodzaj niewieści.

— Nie pani, nie znienawidziłem, ale straciłem ufność w prawdziwość i trwałość ich uczuć. — A po chwili. — Przez lekkomyślną i zdradliwą kobietę, ach a jaką piękną! przed czasem zeszedł ze świata druh mój serdeczny! najdroższy przyjaciel lat jeszcze dziecinnych! Za szlachetny był, aby sam sobie życie ukrócił, trawił się więc i zabijał tęsknotą i smutkiem. Pracą przechodzącą siły chciał się wyleczyć, a biedak dobił się tylko. Umarł w mojem objęciu z jej imieniem na ustach!

Ach Milu moja, z jakiem on to przejęciem mówił, jak on musiał gorąco kochać tego przyjaciela swego! żal mi się zrobiło, iż poruszyłam te bolesne wspomnienia w jego duszy, i powiedziałam mu to.

— Tak, wspomnienie bardzo bolesne, i gdybym nie był pewny, że pani zrozumiesz mnie, nie byłbym go tykał, nie wiele jest osób takich, z któremi bym mówił o tem.

Rozmawialiśmy w tym przedmiocie bardzo długo. Zrobiłam jednę uwagę jeszcze, a to, że wyraz oczu Juljusza od czasu, gdym go poznała, zmienił się zupełnie. Dawniej piękne jego oczy były spokojne... dziś... Nie, nie potrafię ci wytłumaczyć myśli moich, gdyż i dziś są spokojne, a zupełnie jakieś inne. Pierwej, jeżeli kiedy zdarzyło mu się spojrzeć, to wzrok jego przesuwał się po mnie, a jeżeli nawet w rozmowie zatrzymał go dłużej na mojej twarzy, to jam go wytrzymała spokojnie, gdyż czułam, że nie sięga mi nim do duszy. Dzisiaj, chociaż także tylko przelotnie spotykam wzrok jego, przecież razi mnie nim jak błyskawicą, i muszę natychmiast oczy moje odwracać lub przykrywać powiekami. Niebezpieczny człowiek, gdybym miała jaką tajemnicę w duszy, wyczytałby ją pewnie, ale szczęściem nic tam nie znajdzie, prócz czci i uwielbienia dla mego męża! Czasem przejmują mnie jakieś skrupuły. A gdyby się on istotnie zakochał we mnie? O siebie spokojna jestem, ale on? Dawniej pragnęłam tego jako rozrywki na nudy, i jako pomszczenia draśniętej miłości własnej.

A dziś? dziś obawiałabym się takiego zwrotu jego przyjaźni. To nie Staś karnawałowy. On by mógł uczuć głęboko.

Nie wierz temu com ci napisała na początku tego listu, że problema te zaciekawia mnie i bawi. Nie, tak nie jest, nie zaciekawia, ale budzi obawy, niespokojna jestem, nie o siebie, lecz o niego...

Bądź zdrowa Milu moja, wkrótce znowu pisać będę.

Twoja *Nina.*“

(C. d. n.)

---

*

Listy z Niemiec.

Wiedeń w listopadzie 1876.

(Ateny i Kapua. — Monument Schillera. — „Zbój-cy.“ — Teatra. — Nowe sztuki. — „Damy i Huzary“ na scenie niemieckiej. — Juljusz Roven, Hans Max i Franzos. — „Walkyre.“ — Koncerta. — E. Śmietański. — Kwartet Florentyński. — Odczyty. — Berthold Auerbach. — Podróże Przewalskiego w Mongolii, kraju Tungetów i w puszczach północnego Tybetu.— Monista L. Geiger † — Ady Christen: „Aus dem Leben.“ — Przekład tragedyj Euripidesa. — Krytyka niemiecka o Siemiradzkiego „Żyjących pochodniach Nerona. — Inni polscy malarze na wystawie w Künstlerhaus.)

Potomkowie Krzyżaków zowią Berlin *Atenami*, wiedeńczyk Grillparzer nazwał swe miasto rodzinne „ukochaną“ *Kapuą*. W pierwszej nazwie uderza niczem nieusprawiedliwiona zarozumiałość, w drugiej, może zbytnia — skromność. Nad Spreą kwitnie „jobberstwo“ na polu sztuki i literatury, a Krupp jest przewodnią gwiazdą działalności cywilizacyjnej. Szyk północno-niemiecki, mając własności krochmalu, czyni wszystko sztywnem. Nad Dunajem panuje pod każdym względem ruch swobodniejszy i nie równie lepszy smak. Pomimo krzykactwa „o genjuszach“ zrodzonych nad Spreą, posiada Wiedeń dużo prawdziwych talentów, które pierwszorzędne zajmują stanowisko w historji sztuki i literatury. Wystarczy wskazać tylko na szereg wiedeńskich pisarzy dramatycznych, na Grillparzera, Laubego, Weilena, Dingelstedta, Halma, Wildbradta, Mosenthala, Bauernfelda, Benedixa i tylu innych, którzy w całych Niemczech świecą jako pierwszorzędne gwiazdy, ażeby udowodnić powyższe twierdzenie. Berlińscy autorowie, panowie dr. Lindau, Königswalter, Moser et *tutti quanti* są tylko w domu prorokami, ponieważ wszędzie indziej robią swemi komedjami tragiczne *fiasca*. Nie korzystniej przedstawiają się teatra w stolicy państwa niemieckiego. O takich dyrektorach, jak Laube lub Dingelstedt nie mają tam nawet wyobrażenia. Artyści wiedeńscy stoją na wyżynie, nigdy jeszcze przez berlińskich aktorów nieosiągniętej. Że tak jest rzeczywiście, najlepiej dowodzą sami Berlińczycy, którzy nawet drugorzędne siły wiedeńskich teatrów, „jako gości“ obsypują oklaskami i bukietami, podczas kiedy północno-niemieccy tragicy i komicy nie podobają się zupełnie w stolicy austrjackiej. W muzyce należy Wiedniowi, jako rodzinnemu miastu Mozarta i Schuberta, bez zaprzeczenia wyższe stanowisko, aniżeli pruskiej metropoli, która tylko żyje reminiscencjami Wagnera. Pod względem życia społecznego, towarzyskiego i w ogóle ruchu wielkomiejskiego, nie wytrzymują „Ateny“ nawet porównania z „Kapuą.“ Lud wiedeński umie pracować, ale umie się i bawić, posiada humor i dowcip wrodzony, ale nie mniej — serca. Zimny, sztywny Berlinczyk zupełnie inny ma charakter i inne usposobienie, u niego mamona jest bożyszczem i jej zdolny jest poświęcić najdroższe uczucie...

Chociaż nie z Aten, lecz z Kapuy rozpoczynamy szereg listów, to sądzimy, że niepowinnoby nam nigdy braknąć na przedmiotach zasługujących na ogólny interes, i że z nad Dunaju przyjdzie nam sygnalizować nie jeden objaw, nie jedno ważne zjawisko z dziedziny ogólno-niemieckiej sztuki, literatury i umiejętności.

Zaczynamy od pomnika Schillera, który przed kilkoma dniami wobec niezliczonego tłumu publiczności uroczyście odsłoniętym został. Pomnik ten, zdobiący obecnie *Ringstrasse* wzniesiony został staraniem osobnego na ten cel komitetu, którego pracami kierował poeta dr. Frankl. Drezdeński artysta Schilling sporządził rysunek i model, a gisernia wiedeńska odlała posąg z bronzu. Tak kompozycja Schillinga, jak i wykonanie, zasługują na wielką pochwałę. Na piedestalu z brunatno-czerwonego szwedzkiego marmuru, wznosi się wspaniale z bronzu ulany (60 ct.) pomnik do wysokości trzydziestu trzech stóp wiedeńskich. Właściwy posąg spoczywa na bloku kwadratowym, na którego czterech rogach umieszczone są w siedzącej pozycji, wielkości naturalnej, cztery alegoryczne figury przedstawiające pory życia. Na nowonarodzone dziecię spoglada roztropnie i z spółczuciem starzec; na przeciwko młodzieńca stoi mąż; tu pełen błogich nadziei poranek życia, tam pełne południe gorącego czynu, świadomej pracy. Na ścianach czworoboku są haut reliefy (płasko-rzeźby). Wyobrażają one: poezję, filozofję, miłość ludzkości i w szczególnem zastosowaniu do poety, sztukę dramatyczną. Układ nadzwyczaj jest szczęśliwy. Pomiędzy dziecięciem a młodzieńcem widzimy poezję, pomiędzy mężem a starcem mądrość, a w końcu pomiędzy starcem a dziecięciem miłość ludzkości. A nad temi postaciami wysoko, wznosi się dumnie wizerunek poety z podniesioną głową, w ręku zwitek papieru i pióro, prawa noga naprzód krocząca... Głowa wedle rysunku Dannekera, zdjęcie z natury — cała zaś postawa pełna szlachetnej powagi. Marmurowy piedestal upiększają bas-reliefy: pelikan z pisklętami, maska tragiczna, pegaz i głowa Minerwy.

Dnia odsłonięcia pomnika uczczono w teatrach przedstawieniem „Zbójców“, pierwszego utworu Schillera, pamięć poety. W „Stadttheater“ urządził p. Strakosch przedstawienie amatorskie „Zbójców“ w pierwotnem opracowaniu, różniącem się znacznie od powszechnie znanego. W teatrze nadwornym było „uroczyste przedstawienie“ tej samej sztuki z wyborną obsadą ról, reprezentacja jaka gdzie indziej jest prawie niemożebna. Nazajutrz było drugie „Schillerowskie“ przedstawienie. P. Lewiński wygłosił „Pieśń o dzwonie“ illustrowaną żywemi obrazami układu dyrektora Dingelstedta. Nastąpił fragment dramatu „Demetrius“ (dokończony przez Laubego). Duch Matejki wstąpił na scenę, kiedy przed oczami widzów wystąpiły kontuszowe, wspaniałe postacie polskich senatorów: wojewoda Mniszech, ojciec Maryny, Sapieha, Odowalski, Prymas i wiele innych dygnitarzy w głębi. Marynę Mniszchównę grała pani Janisch-Arco z niezrównaną siłą i mistrzowskiem pojęciem roli. Była to z krwi i kości wzrosła kandydatka tronu, dumna i wyniosła, wspaniała i ujmująca.

Komiczna Opera ma jeszcze ciągle na repertoarzu komedję Fredry ojca „Damy i huzary“, która bardzo się podoba wiedeńskiej publiczności, i przez krytykę miejscową nadzwyczaj pochlebnie jest ceniona. Tłumaczem jej jest znany nowelista p. Franzos. W ostatnich czasach zaczął się budzić większy interes dla polskich utworów dramatycznych. Podobają się one publiczności a na dowód przytaczamy „Posażną Jedynaczkę“ Fredry syna, która już od dwóch lat trzyma się na repertoarzu Stadttheatru. „Jedynaczkę“ przełożył p. Rozen, jeden ze znakomitych komedjopisarzy niemieckich. Obecnie tłumaczy ten autor nową jednoaktową komedję warszawskiej autorki p. Zofji Meller „Fałszywe blaski.“ Prócz Franzosa i Rosena przetłumaczył Hans Max (br. Pauman) komedję Fredry. „Pan Jowialski“ i tegoż autora nowelę: „Kłopoty najszczęśliwszego męża“, drukowaną w illustrowanej Gazecie Nordmanna. Kaczkowskiego „Dziwo-Żona“ również przełożoną jest przez Maxa na język niemiecki i ma wkrótce wyjść w osobnem wydaniu.

Sezon teatralny nie dosięgnął jeszcze szczytu. Nowych sztuk mało a z tych tylko dwie zasługują na szczególną wzmiankę. Obydwie pojawiły się w Stadtheatrze. Pierwszą jest dramat Dumas'a syna „L' Etrangere“, druga oryginalna, czteroaktowa komedja Rosena: „O ci mężczyźni!“ Keima tragedja: „Sulamith“ nie miała szczęścia. W „Burgtheater“ przedstawiono również z bardzo słabem powodzeniem oryginalną tragedję: „Atho, król kapłanów“, osnutą na tle dziejowem czasów faraońskich. Jest to raczej poemat, aniżeli utwór dramatyczny. W wielkiej Operze stoi Wagner jeszcze ciągle na pierwszym planie. Dyrektor Jauner uzyskał od mistrza z Bajreuth pozwolenie przedstawienia „Walkyre“, drugiej części tetralogji „Pierścienie Nibelungów“, która w styczniu ma być graną. Sezon koncertów rozpoczął pianista p. E. Śmietański w „Musikverein.“ Artysta ten znany jest we Wiedniu od czasu wystawy powszechnej i jest tu bardzo ceniony, to też i tym razem miał niezwyczajne powodzenie. Następnie odbył się wielki wokalno-instrumentalny koncert członków towarzystwa muzycznego pod dyrekcją p. Herbecka, byłego dyrektora opery. Wykonano sześć numerów, z których szczególnie podobały się: Beethovena C-Moll symfonia, Mendelsohna pożegnanie (chór bez akompaniamentu) i Chopina koncert w E-moll, wykonany niezrównanie przez pianistę Joseffy. W salonie Bösendorfera produkował się kwartet Florentyński (Jean Becker, Masi, Hegyesi i Chiostri). Produkcja ta była prawdziwą rozkoszą artystyczną, gdyż takiego wykonania Haydna, Beethovena i Verdiego już dawno Wiedeń nie słyszał. Kwartet Florentyński ma tu niezwyczajne powodzenie.

Początek w odczytach zrobił p. Eitelberger odczytem o Rubensie w austrjackiem „Muzeum dla sztuki i przemysłu.“ Po nim czytał w tej samej sali p. Eixner o narzędziach i machinach pomocniczych dla rzeźbiarzy. Odczyty w „muzeum“ należą zwyczajnie do najinteresowniejszych, ponieważ traktują specjalne rzeczy należące do zakresu działania tej arcypożytecznej instytucji. W sali niższo-austrjackiego stowarzyszenia zarobkowego, czytał znowu hr. Edmund Zichy o powstaniu orjentalnego muzeum i o jego zbiorach. Po nim będzie miał tu drugi odczyt minister br. Hofman o kongresie geograficznym w Brukselji. Najwięcej jednak budzą zwyczajnie interesu odczyty urządzane przez stowarzyszenie dziennikarskie *Concordia*. Pierwszym prelegentem będzie znakomity powieściopisarz niemiecki Berthold Auerbach, który umyślnie w tym celu przybędzie do Wiednia. Mówić on będzie o poetycznej działalności Lerana i o jego życiu. Będzie to ze wszech miar bardzo ciekawy odczyt, ponieważ Auerbach odczyta niektóre nieznane jeszcze publiczności prace poety, znajdujące się w jego posiadaniu. Nadto będzie on mówił o bardzo ciekawych, również powszechnie jeszcze nieznanych szczegółach z jego życia. Po Auerbachu będzie czytał profesor Bodenstädt, a następnie Weyprecht o expedycji do bieguna północnego, w której przed dwoma laty miał udział.

(D. n)

Wzrost i rozwój armij stałych w Europie.

napisał
LEOPOLD WINKLER.

W obecnej chwili, gdy potężny ruch na Wschodzie zdaje się być tylko prologiem nierównie ważniejszych powikłań i wypadków, gdy prawdopodobieństwo powszechnej wojny zajmuje umysły nietylko mężów stanu, ale i wykształceńszych sfer społecznych, nie od rzeczy będzie dać historyczny obraz wzrostu armij stałych w Europie, poczynając od najdawniejszych czasów, i opierając się w tym względzie na historycznych danych, głównie zaś na uczonej pracy belgijskiego generała de Brialmont, prezesa Akademji Nauk w Brukselli.

W roku 1552 Karol V postanowił wyczerpnąć wszelkie możliwe środki, w celu odebrania fortecy Metz, która w tymże roku właśnie zdradą dostała się w ręce Francuzów. Pomimo, że państwo jego równało się prawie obszarem państwu niegdyś Karola Wielkiego, nie mogło jednakże zdobyć się na zebranie siły większej nad 60,000 ludzi. Niestety! tyfusy, inne choroby, głównie zaś ostra zima sprawiły takie szkody w tej nielicznej armji, że cesarz zmuszony był zaniechać bezowocnego oblężenia fortecy i rozpuścić jednę część swego wojska.

W trzy wieki po tym wypadku, niepomyślnym dla oręża cesarskiego, a mianowicie w roku 1870 Niemcy, których powierzchnia ziemi wynosi zaledwie trzecią część ziem, znajdujących się niegdyś w posiadaniu Karola V, rozpoczęli oblężenie tejże samej fortecy Metz siłą, wynoszącą przeszło 200,000 wojska, a jednocześnie zgromadzili po nad Renem armię liczącą 900,000 wojowników. Podług sprawozdań w tym przedmiocie Dr. Engel, dyrektora biura statystycznego w Berlinie, liczba wojsk, które przeszły granicę niemiecką w latach 1870—1871 wynosiła do 913,957 ludzi, pomiędzy którymi należy odróżnić 695,957 Prusaków, 42,502 Sasów, 15,396 Hessów, 105,413 Bawarów, 28,781 Wirtemberczyków i 25,918 Badeńczyków.

Podobną nierówność sił dostrzedz również można pomiędzy armją francuską za czasów Henryka II, a dzisiejszą.

Następca Franciszka I, wypowiedziawszy wojnę Hiszpanii w r. 1557, pozwolił najechać swe państwo sile, wynoszącej zaledwie 35,000 żołnierzy pieszych i 12,000 jeźdźców, którym na pomoc przybyło 8,000 Anglików. Armja ta zostająca pod wodzą Filiberta Sabaudzkiego, rozpoczęła oblężenie fortecy Saint Quentin, od obrony której zależało wówczas ocalenie Francji.

Wielki hetman Aune de Montmorency, na czele 25,000 wojska, dobrze nawet wyćwiczonego, napróżno usiłował żywnością zasilić twierdzę i wprowadzić do niej na pomoc nowe siły. Zmuszony do odwrotu, spotkał przy wyjściu z wąwozu właśnie owe 8,000 Anglików pod dowództwem księcia d'Egmont, który bez wahania nań uderzył z tak ogromną natarczywością, że w zupełnej rozsypce zmusił Francuzów do ucieczki, którzy stracili większą połowę armji i najlepszych oficerów. Sam wielki hetman raniony został wzięty do niewoli, książe d'Enghien zabity, książęta Montpensier, Saint-André, de Lougueville, Mautny, hrabiowie de la Rochefoucault, d'Aubigny i Rochefort zostali wzięci do niewoli.

Druga połowa rozbitków, częścią ratowała ucieczką życie, częścią dostała się także do niewoli.

Według twierdzeń kronikarzy współczesnych lub najbliższych tej epoki, Francuzi ponieśli niesłychane straty. De Thou utrzymuje, że zabito w tej bitwie około 3,000 Francuzów i Hiszpanów, Anglików zaś miało paść zaledwie kilkudziesięciu tylko.

Po bitwie tej Francja znalazła się w tak krytycznem położeniu, że była niemal zmuszoną do zawarcia pokoju, któryby najokropniejsze skutki był sprowadził, gdyby Filip II pozwolił był zwycięzcom maszerować na Paryż. „Jedyna armja, na której polegała obrona Francji, mówi Henryk Martin, dzisiejszy znakomity historyk, przytaczając zdanie de Thou, zdawała się być już zupełnie zniszczoną. Nieprzyjaciel miał siły wystarczające, by naraz przedsięwziąć aż dwie rzeczy: zgnieść szczątki rozbite armji francuskiej i maszerować żywo, prosto na Paryż, pozostawiony bez żadnej obrony."

Tak więc Francja, która w 1557 r. znalazła się już na łasce króla hiszpańskiego po stracie 25,000 ludzi, i prawie nie wiedziała, co jej czynić wypadało; w r. 1871, posiadając w departamentach swoich wschodnich, środkowych i południowych ogromne masy wojsk nieprzyjacielskich, postawiła na stopie wojennej nową armję, wynoszącą przeszło miljon ludzi i prowadziła walkę w dalszym ciągu, pomimo strasznych klęsk pod Sedanem i Metzem, które kosztowały drogo, bo zabrały około 300,000 ludzi w zabitych, rannionych lub jeńcach wojennych. Dzisiaj naród francuski, pomimo straty dwu prowincyj, mógłby uruchomić 2,400,000 żołnierzy.

Co do dzisiejszych sił wojennych tych państw, z których składało się niegdyś cesarstwo Karola V, można je obliczyć na więcej niż 4,000,000 ludzi czyli dwadzieścia dwa razy więcej, niż było w 1550 roku, względnie do ludności i przypuszczając, że ta od owego czasu potroiła się.

To nadzwyczajne powiększenie stałej armji jest jednym z najciekawszych i najważniejszych faktów historycznych. Będzie zatem rzeczą bardzo pożyteczną wykazać jego przyczyny i ocenić skutki.

Armje stałe nie są wcale instytucją nowoczesną. Ich początek odnosi się do epoki, w której Grecy zmuszeni byli do zreorganizowania swej milicji, a tym sposobem zrobienia postępu w sztuce wojennej, ażeby dać odpór nieprzeliczonym hordom barbarzyńców, lub pobić je na ich własnej ziemi, a następnie ich kraje opanować.

Pierwsze armje, o których mamy wzmianki w księgach świętych, powstawały tylko na czas trwania wojny i złożone były ze wszystkich obywateli zdolnych do noszenia broni. Taką była armja Mojżesza licząca aż 600,000 ludzi, prawie czwarta część ludności. Jestto armja najdawniejsza o jakiej mówi historja. Takiemi były również armije Cyrusa, Krezusa, Darjusza i Kserksesa, a najsłabsza z tych armj liczyła 500,000 ludzi.

W bitwie pod Tymbrą, której szczegóły doszły aż do naszych czasów, stoczonej w r. 548 przed Chrystusem, Cyrus, podług kroniki Ksenofonta, liczył pod bronią 196,000 Persów, a Krezus 420,000 Assyryjczyków.

W r. 490 przed Narodzeniem Chrystusa 500,000 Persów pod dowództwem Darjusza naszło Grecję i zostało odparte pod Maratonem przez Ateńczyków, których liczba była o pięćdziesiąt razy mniejszą, wynosiła bowiem tylko 10,000 bohaterów, z Milcjadesem na czele. Sztuka wojenna musiała być u Persów w nader opłakanie-nędznym stanie, skoro Grecja z tak małą liczbą obrońców miała tak znakomite powodzenie i to w 78 lat po nadzwyczajnych tryumfach Cyrusa.

Pragnąc powetować klęski poniesione przez ojca i tym sposobem ukarać pewnych siebie Greków, Kserkses w 481 r. p. Chr. zebrał i jak umiał zorganizował armję daleko jeszcze silniejszą, którą dowodził osobiście.

Herodot, mający zaledwie lat cztery życia w czasie, gdy Persowie przekraczali Hellespont, dowiedział się potem od świadka naocznego wyprawy, że armja ta, na którą złożyło się czterdzieści sześć różnych narodowości, liczyła w Doriskos, gdzie odbył się przegląd, 1,700,000 piechoty i 80,000 konnicy. Są co cyfry potężne, których autentyczność da się tem usprawiedliwić, że dla przesunięcia się tej ogromnej masy ludzi, koni i wozów, przez podwójne przejście Hellespontu, potrzeba było siedmiu dni i tyluż nocy. Oficerowie, w celu otrzymania kroku podwójnego, to jest przyspieszenia marszu, używali pomocy kijów i batogów.

Do tej nadzwyczajnej masy, największej o jakiej dotąd historja wspomina, należy, podług twierdzeń Herodota, dodać liczbę taką samą prawie służących, niewolników, markietanów, prowadzących bydło, kucharzy, kobiet, eunuchów i t. d. Zapasy żywności dla tej armji zbierały się w ciągu lat trzech, na różnych punktach linij operacyjnych.

Nie ulega wątpliwości, że armja Kserksesa, jak również i Darjusza były uformowane za pośrednictwem pospolitego ruszenia wszystkich ludzi zdrowych i zdolnych do noszenia broni.

Nie czyniąc żadnego wyjątku, nawet na korzyść własnych dzieci, Kserkses uważał się za prawomocnego do ukarania Pythiasa, u którego jako gość bawił w Sardes, gdy ten zażądał pozwolenia zachowania przy sobie, jako jedynej podpory starości, piątego swego syna.

Bitwa morska pod Salaminą zmusiła Kserksesa do cofania się. Kserkses zostawił w Grecji 300,000 wojska pod dowództwem Mardoniusza. Armja ta została pobita w r. 479 pod Plateą przez Pauzaniasza, a tegoż samego dnia flota perska doznała zupełnej porażki pod Mikale.

W lat około 150 potem (333 r. p. Chr.) Daryjusz Kodoman zebrał 400,000 piechoty i 100,000 jazdy dla powstrzymania w energicznym pochodzie Aleksandra W. Macedońskiego. Armja ta, podobnie jak wszystkie poprzednie, tworzyła ogromną tylko masę poruszającą się w największym nieładzie, bez żadnych instrukcyj wojskowych. Armija ta nie była nawet podzieloną w duchu najpospolitszych zasad taktyki. Było niepodobieństwem nią kierować, a tem bardziej użyć jej przeciw Grekom, stanowiącym oddziały wojska wyćwiczone, odznaczającym się karnością wojskową i wybornie przez dowódców swoich prowadzonym. Historyk mówi słusznie, że żołnierze tych olbrzymich armji byli w dniu bitwy „raczej widzami, niż walczącymi."

Powstaniem mas nazwać należy i te hordy, za pomocą których Atylla postępował na zgubę zachodniej Europy, i byłby zamiarów swych dokonał niezawodnie, gdyby Gallo-romanie nie byli mu stawili silnego oporu pod Châlons, w r. 451 ery chrześcijańskiej.

Tenże sam początek był armji arabów muzułmańskich, zgniecionej do szczętu pod Poitiers w r. 732 przez Karola Młota. W tej pamiętnej bitwie, w której rozstrzygały się losy Azji i Europy, czyli Koranu i Biblii, ogromne siły były do boju wyprowadzone. Nigdy jeszcze do tego czasu Zachód nie widział takich mas naraz

walczących. Z obu stron straty, podług podań historyka Jornandesa wynosiły 165,000 ludzi.

Za pomocą pospolitego ruszenia obowiązkowego i przymusowego, Czyngis Chan zebrał nadzwyczajną armję, liczącą 700,000 Mongołów i Tatarów, za pomocą której, poczynając od Pekinu, w roku 1209 ogarnął wszystkie kraje aż do morza Kaspijskiego.

A kiedy Mongoło-Tatarowie zwyciężyli ziemie ruskie i rozpostarli tam swoje panowanie, a następnie rozdzieliwszy się na dwie hordy około r. 1240 szli na ujarzmienie Węgier i Polski, ażeby potem połączonemi siłami udać się na zgubę chrześcjaństwa i cywilizacji, Polska postawiła barbarzyńcom opór potężny. Polacy stoczyli kilka rozpaczliwych bitew, a pomimo męstwa, ogromnej liczbie stanowczo podołać nie mogli. Wreszcie przyszła pamiętna w dziejach świata ucywilizowanego, bitwa pod Lignicą. Henryk książę Lignicki zgromadził i zorganizował 18,000 rycerstwa oraz ochotników z ludu wiejskiego, którzy stawili czoło, w imię boże, hordzie przeszło 250,000 ludzi wynoszącej. Bitwa, a właściwie rzeź trwała przez dni trzy. Zginął książę Lignicki wraz z całem wojskiem swojem, lecz ocalił Europę od najazdu barbarzyństwa. Z 250,000 Mongoło-Tatarów, pozostało tylko zaledwie kilkadziesiąt tysięcy. Polacy walczyli z niesłychanem męstwem, jeden przeciw piętnastu, wyginęli prawie wszyscy, lecz pozwolili tym sposobem Niemcom przygotować się do obrony, a jednocześnie z Wielko-Polski nowe hufce przeciw najazdowi barbarzyńskiemu spieszyły. Cofnęli się Mongoło-Tatarowie, lecz obrali sobie siedlisko nad brzegami mórz, Czarnego i Azowskiego. Ruś przez długie lata pozostawała w ich niewoli, a na Polskę robili co lat kilka lub kilkanaście ciągłe napady, w chęciach ujarzmienia jej, a potem posuwania się w głąb Europy.

Jedna wielka ogromna masa, pod dowództwem Tamerlana, jednego z następców Czyngis Chana, przypomniała postępy i zwycięstwa Aleksandra Macedońskiego w Indjach. Tamerlan pokonał 1401 r. Turków, walczących pod dowództwem Bajazeta, pod Ancyrą. To była pierwsza bitwa, w której Muzułmanie byli zwyciężeni i stracili, podług świadectwa Cezara Cantu 400,000 ludzi (?)

Armje te przedstawiały widok masy pomięszanej bez żadnej organizacji, bez instrukcji, ani karności wojskowej, a historja świadczy, że były zawsze bite, ile razy stawały do walki nie przeciw podobnym sobie tłumom, lecz przeciw wojsku regularnemu, wyćwiczonemu, dobrze uzbrojonemu, choćby o połowę nawet mniej licznemu, lecz zostającemu pod dowództwem zdolnych generałów i posiadającemu mężnych niższych oficerów.

Takim sposobem właśnie 10,000 Greków, pod dowództwem Milcjadesa, rozproszyło pod Maratonem 100,000 piechoty i 10,000 konnicy wojsk perskich, zostających pod niedołężną komendą Datisa.

Tym sposobem maleńki zastęp bohaterów, bo liczący tylko 4,000 ludzi, ale Spartanów, z którymi Leonidas bronił Termopilów, zatrzymał przez dwa dni całą armję Kserksesa, który stracił, podług historyka Herodota, przeszło 20,000 ludzi.

Ta wyższość nauki i organizacji wzorowej nad liczebną masą jaśnieje szczególniej w czasie wypraw Aleksandra W-go.

W czasie drugiej wojny azjatyckiej, armja macedońska, licząca 40,000 piechoty i 7,000 konnicy, stanęła do walki pod Issusem naprzeciw 500,000 Persów.

(C. d. n.)

BIBLIOGRAFJA.

Francuska.

— Theatre complet de M. Emile Augier de l'Academie Francaise, 2 vol. in— 18; Kalman Lévy— Paris — 1876.

Pan Augier wpadł na wyborny pomysł wydawania tomami wszystkich dzieł swoich scenicznych z których każde w swoim czasie stanowiło epokę w historji teatru tegoczesnego. Równie miło czyta się je jak i widzi na scenie, to też publikacja ta wielu znalazła amatorów.

— L'empereur Titus, par M. Lucien Double, 1 vol in 18; Sandoz et Tischbacher — Paris — 1876.

Pan M. L. Double opracowawszy życie cesarza Klaudyusza, przedsięwziął sobie zrehabilitować tego monarchę przedstawiając go jako ofiarę historji. Dziś znowu opisując życie Tytusa stara się zedrzeć zasłonę legend, które okrywały postać tego ambitnego okrutnika. Autor chcąc go pokazać takim, jakim był w istocie, usiłuje rzucić go w proch z piedestalu, na którym stoi niegodnie. P. Double nie zadowala się ukazując Tytusa, jeszcze przed posiadaniem władzy, jako obłudnika czyniącego miłosierdzie li z wyrachowania. Tytus jest podług niego najgorszym z książąt cezarstwa rzymskiego.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Listy z kraju.

Wystawa sztuk pięknych w Krakowie.

Kraków d. 30. listopada 1876.

Mamy, jak wiecie, wystawę nieustającą; co tydzień prawie jakiś obraz przybywa, wisi kilka dni, tygodni, a czasem i miesięcy, i znowu wędruje dalej nie witany, ani żegnany przez krytyków tutejszych, którzy sobie za zadanie widocznie położyli milczeć, robiąc niekiedy wyjątek pod tym względem dla swoich protegowanych. Nie byłaby w tem tak wielka jeszcze szkoda dla sztuki i artystów, boć wiadomo, że sztuka w Polsce w ostatnich latach rozwinęła się nie przez krytykę ale pomimo krytyki; ale to gorsze, że publiczność podziela tę obojętność dla sztuki, i trzeba dopiero nadzwyczajnego bodźca, nazwiska malarza, który już zyskał uznanie za granicą, by się zapełniły sale wystawy ciekawymi. Wobec takiej apatji obowiązkiem jest podawać od czasu do czasu sprawozdanie o artystycznych produkcjach, i to skłoniło mnie do napisania niniejszej notatki, która nie mając bynajmniej pretensji do fachowej krytyki, poda przynajmniej wiadomość o tem, co jest.

Zaczynam od obrazów przysłanych z Monachium. To miasto ma obecnie wcale pokaźną kolonję malarzy polskich, rzadko jednak który z ich obrazów dostaje się na nasze wystawy, bo kunsthandlerzy zagraniczni nie wyschnięte jeszcze płótna zakupują z pracowni, i wysełają je do Anglji, Francji i Ameryki. Tak się stało np. z obrazem Antoniego Kozakiewicza „Rodzina konfederatów,“ którego artysta nie miał czasu przesłać do nas przed sprzedaniem, a chcąc pomysłem swoim podzielić się z ziomkami, dał nam akwarellową kopję. Kompozycja ta wymowna obchodzi się bez komentarza, każda figura tłómaczy się jasno. Scena przedstawia podwórze szlacheckiego dworka, na którym panuje ruch niezwykły. Oto konfederat gotowy już do drogi ostrzy na bruku pałasz; młodziutki syn jego wybiera się także na wyprawę i niecierpliwie patrzy w bramę, przez którą wprowadzają dwa okulbaczone konie. Drugi, maleńki synek bawi się drzewcem, których sporą ilość przygotowano do okucia. Wiejski chłopak obraca brusek, a młoda dziewczynka z konewczką stoi obok i pyta: czy lać wodę jeszcze. Ją bawi to zajęcie, nie rozumie jeszcze całej grozy tej chwili. Za to rozumie ją dobrze niewiasta stojąca w ganku, matka jej a żona konfederata, która oparta o słupek zasłoniwszy twarz chustką, zanosi się od płaczu. Po schodkach z ganku schodzi drugi konfederat o kulach, z twarzą świadczącą o ciężkiej chorobie. Kowal uchyla przed nim czapki i pyta, czy okuwać drzewce. W głębi sieni widać kwestarza rozmawiającego z jakimś szlachcicem. Obraz ten z epicznym spokojem opowiada tragiczną chwilę; ten kontrast spokojnego dworu, wesołych dzieci z przygotowaniami do wyprawy, łzy wyciska. Jeżeli mielibyśmy co zarzucić w tym obrazie, to zbyt staranny, świąteczny ubiór konfederata, który więcej by przystawał do wyjazdu na jaką uroczystość, jak na partyzancką wyprawę. Żałować trzeba, że obraz ten widzimy tylko w akwarelli, bo przez to traci wiele na sile i plastyczności.

Drugim obrazem nadesłanym z Monachium jest „Pokuta“ Maszyńskiego. Zdaje mi się, że w korespondencji z Paryża była już w *Tygodniu* wzmianka o tym obrazie; ma on wielkie zalety pędzla. Nie tylko akcesorja, w których teraz usiłują celować niektórzy artyści, ale i figury malowane są z wielką znajomością rysunku i kolorytu; atoli sposób traktowania przedmiotu nie licuje z jego treścią. Brak mu tej grozy ascetycznej, jaka konieczną by była w scenie szlachcica biczowanego przez mnicha. Szlachcic obnażony do pasa ma ciało takie wypieszczone, zdrowe, że trudno uwierzyć, aby kiedykolwiek oddawał się takim praktykom religijnym. Robi wrażenie więcej człowieka wychodzącego z łaźni, niż biczowanego. Także postać mnicha zaspana i apatyczna, a ręka biczująca zdaje się raczej wisieć bezwładnie na sznurku, a nie smagać nim; koloryt świetny, może za świetny, za elegancki do tak ponurej sceny.

Alchimowicz, którego poprzedni obraz „Pogrzeb powstańca“ dał poznać malarza głęboko czującego, wystawił nam obecnie Lezdejkę na ruinach świątyni Perkuna. W głębi ciemnego lasu oparł się o skałę starzec w długiej szacie, z dębowym wieńcem na skroni i patrzy ponurym beznadziejnym wzrokiem na trupa Litwina leżącego w gęstej trawie obok zwalonego posągu bożyszcza. Obok niego siedzi córka i podnosi łzawe oczy na ojca. W obrazie jest dużo harmonji, spokoju i powagi. Trzeba jednak przyglądać mu się z pewnej odległości, by stracić z oczów owe centkowanie pędzlem, którego z taką brawurą używa artysta. Nie suwa on pędzlem po płótnie, ale go zręcznie dotyka, maluje kleksami, przez co z bliska obraz wydaje się jakby układany z różnobarwnych karpich łusek. Że takie śmiałe dotykanie wymaga wielkiej pewności i znajomości sztuki, to pewna, ale łatwo wyrodzić się może w manierę i przyzwyczajać do szkicowego traktowania. Takiego szkicowania nie widać jeszcze w obrazie Alchimowicza, owszem usiłuje on potem łagodzić i zharmonizować ostre tony; ale za to w innych jego kolegach ze szkoły monachijskiej wada ta występuje nierównie silniej. Nie szukając daleko, spotykamy ją w dwóch obrazach Pruszkowskiego, będących na naszej wystawie: „Noc“ i „Wieczór.“ Malowane one są bez zaprzeczenia z ogromnym talentem, genjalnie nawet; ale aby je podziwiać można, trzeba się trzymać w znacznej od nich odległości, bo za zbliżeniem rozeznać możemy tylko różnokolorowe plamy lub ciemne mazanie. Takie efekta obliczone na odległość, pożądane są w malowaniach dekoracyjnych, ale nigdy w obrazach, z któremi blisko stykać się musimy; dowodzą one genjalności, ale nie pracowitości i wykończenia; a szkoda bo tylko tych dwóch przymiotów brak Pruszkowskiemu, aby go można nazwać znakomitym artystą. Umie on malować drzewa z taką fantazją, lekkością, jak może żaden z naszych pejzażystów, a również w paru portretach, któreśmy widzieli, dowiódł wielkiego talentu. Z mniejszym może talentem, ale z równą wprawą i bez trudu maluje Fedorowicz swoje nocne obrazki. Nie ma tam także wykończenia, nie ma studjów z natury, jest tylko zręczne podpatrzenie pewnych momentów, pewna kombinacja świateł i cieni, która w odległości daje obrazek dziwnie poetyczny, efektowny, mający większą wartość od niektórych z trudem i pracą wylizanych i wymęczonych pejzaży; mimo to na pewno podejrzywać możemy artystę, że malował na pamięć.

Tę samą wadę, ale już bez talentu Fedorowicza ma „Konik“ Zawszyńskiego. Malowany jest również szkicowo, na pamięć, a że scena dzieje się w dzień, więc światło słoneczne poodkrywało mnóstwo błędów w rysunku. Lirnik siedzi na stepie. Wieśniacy wracający z jarmarku zatrzymali się przy nim i słuchają. Jedni stanęli koło niego, drudzy siedzą na wozie, na którym widać jakiś okop porosły trawą. Miało to być zapewne siedzenie nakryte płachtą, z którego wystercza siano; ale pędzel nie był snać posłuszny woli artysty, i nie wyraził tego z powodu dorywczego malowania.

Juljusz Kosak powrócił znowu do ulubionego swego Mohorta i dał nam „Polowanie księcia Józefa.“ Widzimy tu znowu wszystkich znajomych z owego „Stada Mohorta,“ też same eleganckie damy z wdzięcznem przechyleniem główek kokietujące spojrzeniem jeźdźców, i Mohorta i księcia Józefa; tylko że ta

cała kalwakada pochwycona jest na płótno w pełnym kłusie; zdaje się patrzącemu, że słyszy tentent kopyt, brzęk pałaszy i szelest sukien jedwabnych, że cała ta kalwakada przeleci za chwilę po za ramy obrazu, zostawiając tylko kurzawę za sobą. Tyle życia i ruchu jest w całości.

A teraz zatrzymajmy się przed obrazem mistrza. Nie wiem dla czego zatytułowano obraz jego tak obszernie: „Wacław Wilczek broniący na Morawie klasztoru przeciw Węgrom;“ kiedy właściwie obraz przedstawia tylko jednę figurę, mogącą nazywać się portretem historycznym, ale nigdy obrazem historycznym. O zaletach jego rozwodzić się nie potrzebuję, niesłychana siła charakterystyki, przechodząca nieraz w homeryczną rubaszność, ta główna cecha talentu Matejki, która mu wyrobiła poczestne stanowisko w rzędzie europejskich malarzy, widnieje i w tym obrazie w całej świetności. Gdyby nam wolno było odkrywać plamy na słońcu, tobyśmy się ośmielili zarzucić ceglasty kolor twarzy; ale takie uwagi przechodzą już granice sprawozdania i dla tego zostawiamy je fachowym krytykom.

Grabowski Andrzej ze swoim „Mieszczuchem przy miodzie“ może bez wstydu stanąć obok obrazu Matejki. Dawno już nie wyszło nic tak wykończonego, z taką prawdą, życiem i humorem oddanego, jak ten „przy miodzie.“ Obraz ten wraz z portretem Matki, zaliczamy do najlepszych prac tego artysty.

Na tem kończymy to krótkie sprawozdanie o obecnej wystawie. Pracownie naszych malarzy przygotowują nam kilka nowości na rok nowy. Skoro ukażą się na wystawie, nie omieszkam o nich donieść.

A. B. C.

Uroczystość śp. A Mickiewicza.

— Zwyczajem praktykowanym od kilku lat, lwowska młodzież akademicka święci co roku uroczystym obchodem wieczornym rocznicę zgonu Adama Mickiewicza, który też w bieżącym roku odbył się we wtorek 28go listopada. Uroczystość zagaił nowo przez młodzież obrany przewodniczący w czytelni akademickiej, akademik L. P. stosowną przemową do nader licznie zgromadzonych słuchaczów. Sala i obydwie galerje były nimi literalnie zapełnione. Następnie wykonano na dwóch fortepjanach marsz żałobny Chopina, a jak wykonano, dość powiedzieć, że grali pp. Mikuli, Szwarc, dr. Festenburg i Rakowiecki. Ostatni dał się słyszeć tego wieczora publiczności lwowskiej dopiero po raz pierwszy, i zarekomendował się kilką numerami programu, jako rutynowany pianista i dobry egzekutor. Jak poprzedniego roku tak i tym razem najsłabiej wypadła deklamacja „Ody do młodości.“ Za to z prawdziwą przyjemnością wysłuchaliśmy ślicznego wiersza „Na dziś,“ wygłoszonego z werwą i natchnieniem poetyckiem przez samego autora, akademika K. O śpiewie dwu amatorów, uczniów p. W. Wysockiego, pana K. A. i S. W. powiedzieć można tylko tyle, że jako amatorowie śpiewali wcale dobrze, tem bardziej, gdy należy i to wziąć w uwagę, jak niezmiernie trudno śpiewać w sali. gdzie gorąco skutkiem przepełnienia i oświetlenia gazowego oddech niemal tamuje. Odczyt p. Z. choć nie zawierał nic takiego, o czem by większość słuchaczów już dawno nie wiedziała, byłby mimo to wzbudził przynajmniej w owej mniejszości goręcsze zajęcie, gdyby nie monotonny sposób czytania prelegenta. Na zakończenie przemówił p. Kornel Ujejski z właściwą sobie fantazją wieszcza i siłą piorunującą słuchacza. Frenetyczne oklaski następowały prawie po każdym okresie gorącej i na wskróś patrjotycznej mowy poety.

Literatura, nauka i sztuka.

— Nakładem księgarni Gebethnera i Wolfa wyszedł tom III „Listów z podróży S. E. Odyńca“. Do życiorysu Mickiewicza najcenniejszy to materjał a podany mistrzowskiem piórem. Są tu także szczegóły mogące służyć do wyjawienia charakterystyki J. Słowackiego, Stefana Garczyńskiego i t. d.

— Druk klechd K. Wl. Wojcickiego w zakładzie typograficznym S Lewentala już jest na ukończeniu. Ilustracje do tego dzieła wykonane artystycznie w drzeworytni Kłosów, w tymże zakładzie wkrótce odbijać się zaczną.

— W bibljotece Raczyńskich w Poznaniu znalazły się nieznane utwory dwóch poetów polskich piszących po polsku. Jednym jest kobieta Anna Memorata żyjąca za czasów Zygmunta III i Władysława IV, pochodziła z czeskiej rodziny, której członkowie w Wielkopolsce sprawowali obowiązki duchowne przy kościołach braci czeskich. Mieszkała w Lesznie w Poznańskiem i podpisywała się Anna Memorata, virgo polona. Biegłości jej w języku łacińskim dowodzą utwory drukowane. — Drugim jest Maciej Głoskowski, żyjący za dwóch ostatnich Wazów, kanonik kaliski, zmarły 1658 r. Bibljoteka Raczyńskich posiada wiele jego poezyj w rękopiśmie, drukiem jedna tylko polska ogłoszona p. n. Zegarek, albo pamiątka męki Zbawiciela naszego.

— W Petermanna *Mittheilungen* pomieszczoną została nareszcie rozprawa p. Franciszka Czerny pt. „Die Wirkungen der Winde auf die Gestaltung der Erde. Ein Streifzug im Gebiete der physicalischen Geographie. Mit einer Karte.“ Słynny uczony niemiecki ocenił tę pracę w czasopiśmie: „Jenner Literaturzeitung“ Nr. 44, 1876. Krytyk zakończył ocenę temi słowy: „Dem Verfasser, der seine Aufgabe bescheiden nur darin erkannt zu haben bekennt, zur Ausfüllung der eingangsbezeichneten Lücke einen Beitrag zu liefern, wird man die Anerkennung gerechter Weise zollen müssen, dass in seinem Beitrag bereits die Grundlagen eines für die Wissenschaft von der Erde hochwichtigen Aufbaues gegeben sind, wo vorher grossentheils nur Rohstoff auf wüster Baustätte gehäuft lag.“ Na podstawie tej pracy został p. Czerny w tych dniach mianowany docentem geografji w Krakowie.

— Gwiazda polarna posiada jednego satelitę 9ej wielkości, który znany już jest od dawna, ale astronom z Auvers p. de Boë donosi, że odkrył dwie inne gwiazdy 14ej wielkości, które krążą około tegoż samego środka. Odkrycie to ma być sprawdzone na obserwatorjum w Paryżu.

— Ostatnie obserwacje przejścia Wenusa przez tarczę słoneczną doprowadziło kilku astronomów do wniosku, że planeta ten podobny do naszej ziemi, posiada jak i my jednego satelitę czyli księżyca.

— „Presse“ donosi: Ubiegłego lata znacznie postąpiły w Austrji pomiary dla oznaczenia stopni geograficznych; skonstatować należy, iż monarchia nasza wyprzedziła w tej mierze inne państwa o wiele. Pomiary owe dzielą się na oznaczenie dat długości i szerokości geograficznej, spostrzeżeń wahadłowych, tryangulacji i niwelacji. Od roku 1865 wymierzono w Austrji 42 różnic długości geograficznych, oraz 37 szerokości w położeniu głównych okolic. W Wiedniu, Bregencji, Pradze, Kremsmüuster, we Lwowie i Czerniowcach dokonano także spostrzeżeń wahadłowych. Tryangulacje ukończone zostały w Czechach, na Morawie, w Austrji dolnej, Galicji i Dalmacji, zaś na ukończeniu są w Styrji, Austrji górnej i na Pograniczu Wojskowem.

— W setną rocznicę zgonu Lineusza, d. 10 stycznia 1878 roku odsłonięty będzie na jednym z placów Sztokholmu wspaniały posąg tego nieśmiertelnego męża, wzniesiony ze składki, drogą której zebrano dotąd 36 tysięcy koron.

— Po długiej stagnacji w teatrach paryskich ukazały się wreszcie dwa utwory wyższego rzędu. Jeden z nich dramat z życia mieszczaństwa paryskiego p. t. Ryzler starszy i Fromont młody — wątek wysnuty ze znakomitej powieści Dandetà, nagrodzonej w roku zeszłym przez akademję francuzką; — drugim tragedja z czasów wojen punickich p. t. „Rzym pokonany.“

Gospodarstwo

— Według wykazu ułożonego na podstawie statystyki macieja Zawielejskiego, która wydaną została w Petersburgu, królestwo Polskie mieści na swej ziemi blisko 2,000 gatunków roślin, z których mniej więcej prawie wszystkie właściwe są klimatowi Północnych Niemiec; dziesiąta ich część zaledwie została przyswojoną naszemu klimatowi, inne zaś należą do płodów mniejszowych. Zwierząt znajduje się 884 rodzajów i 13,341 gatunków; między temi nie ma jednego gatunku właściwego tutejszej miejscowości, lecz niemal wszystkie napotkać można w innych europejskich krajach. — Ssących znajduje się w królestwie Polskiem 20 rodzajów i 62 gatunków; ptaków 79 rodzajów i 286 gatunków; skorupiaków 13 rodzajów i 50 gatunków; pająków 40 rodzajów i 113 gatunków; owadów 650 rodzajów i 12,700 gatunkwó.

— W Egipcie wybuchła nieznana dotychczas okropna zaraza na konie, która do tej pory już 15,000 ofiar pochłonęła. Łatwo pojąć rozmiary klęski, gdy powiemy, że wedle cyfr statystycznych, w całym Egipcie liczono tylko 18,000 koni. To też w Kairze prawie już napotkać trudno powóz zaprzężony końmi. Jedyna nadzieja ocalenia reszty tych zwierząt polega na tem, że może z nastaniem chłodniejszej pory roku, epidemia ustanie.

Przemysł.

— Bogate skarby przyrody spoczywające długo w zapomnieniu, jakiemi są nieprzebrane pokłady najpiękniejszych marmurów w okolicach Kielc, doczekały się szczęśliwej chwili, że zwrócono na nie uwagę. Wiadomo, że ztąd wydobyto olbrzymie bryły marmurowe, z których wyciosano dwie kolumny pod posąg króla Zygmunta III, stojący w Warszawie. Pierwsza wyższa, w przewozie, przy środkach w XVII stuleciu niedostatecznych przez złe drogi pękła, drugą mniejszą sprowadzono do stolicy Wazów. — Obecnie zawiązała się spółka pp. Józefa Kokeli etc pod firmą: „Przedsiębiorstwo kopalń marmurów Kieleckich,“ która już wydała swój program eksploatacji tych bogactw natury w przerobach, odpowiednich naszym potrzebom. Z ogłoszenia tego nabieramy przekonania, w jak rozlicznych kształtach do ozdoby, wygody i potrzeb nawet domowych wyroby gór marmurowych chęcińskich posłużyć mogą.

Poczta gołębia.

— Wiek warszawski donosi: Próby w celu zaprowadzenia poczty gołębiej, jak dotąd przyniosły dość zadowalające rezultaty. W czerwcu r. b. posłano w odległości 5 wiorst za Pragę 70 sztuk gołębi, z tych powróciło 68 — więc zaledwie 2 zginęły. Później zaś przesłano do Mińska a więc o 40 wiorst, 68 sztuk, powróciło 55. W lipcu posłano do Kotunia t. j. 75 wiorst 55 sztuk — powróciło 52. Nakoniec w dniu 14 lipca posłano na odległość 164 wiorst, bo do Białej, 50 sztuk, z których powróciło 32. Z prób tych pokazuje się, że poczta gołębia ma przed sobą przyszłość.

Komunikacje.

— Według statystycznych obliczeń długość kolei żelaznych na całej kuli ziemskiej wynosiła w r. z. 295.122 kilometrów, w 1860 r. 106.936 kilometrów. Przez lat 15 w Europie blisko się potroiła, (51.544: 142.807); w innych zaś częściach świata stosunek wzrostu jest następujący: Azja 1.397: 12.302; Afryka 496: 3.279; Ameryka 53.235: 133.914; Australja 264: 2.820.

Zjawisko natury.

— Amadeusz Guillemin przesłał z Orsay opis zjawiska meteorologicznego, obserwowanego już przez Renou w Parku Saint-Maur. Miało ono miejsce dnia 12go lipca około godziny 8ej wieczorem. Pionowa kolumna wysoka na 12—15 stopni ukazała się nad słońcem, i nieznacznie wraz z wysokością ginęła, ale wyraźnie była odgraniczona ze wszystkich stron pionowemi, które Renou uważał jako styczne do tarczy słonecznej, podczas gdy Guillemin twierdzi, że oddalone były jedna od drugiej na odległości, większe od średnicy słońca. Cassini w r. 1672 obserwował zupełnie podobne zjawisko, które od owego czasu było kilkakrotnie dostrzegane; należy ono do zjawisk bardzo rzadkich, co właśnie czyni obserwowanie go bardzo interesującem.

Wojskowość.

— Siły wojenne siedmiu wielkich państw europejskich, to jest: Rossji, Anglji, Austrji, Niemiec, Francji, Włoch i Turcji wynoszą w ogóle 5,600,000 ludzi, 776 okrętów wojennych i 6984 dział okrętowych. Od tej cyfry należy odtrącić 10% na chorych lub takich, którzy z jakichbądź powodów nie mogą stanąć do służby czynnej, a od pozostałej reszty trzeba jeszcze odjąć część trzecią na garnizony, służbę portową i t. d., tak, że ostatecznie mocarstwa wymienione mogą wystawić na linji bojowej 3,360,000 ludzi. 470 okrętów wojennych i 3,650 dział okrętowych. Z tej liczby przypada: na Rossję 540,000 ludzi i 24 okrętów ze stu działami. Na Anglję 120,000 ludzi i 248 statków z 2,100 dział. Na Austrję 600,000 żołnierza i 17 okrętów ze 120 działami. Na Niemcy 780,000 ludzi i 24 okrętów z 60 działami. Na Francję 840,000 wojska i 60 statków z 600 dział. Na Włochy 360,000 ludzi i 34 statków z 340 działami. Na Turcję 240,000 ludzi i 60 statków z 300 działami.

ROZMAITOŚCI.

— Panowie fizycy twierdzą kategorycznie, że iskra elektryczna potrzebuje tylko bardzo małego, prawie nic nie znaczącego przeciągu czasu, by całą Europę, a nawet Wschód i Zachód przebiedz od końca do końca. Tak mówi rzeczywiście teorja, atoli w praktyce nie da się to sprawdzić żadną miarą. Organizacja i ruch telegrafów są dotychczas stosunkowo bardzo niedostateczne i zawsze jeszcze czekają na wydoskonalenie. Wprawdzie prąd elektryczny spełnia należycie zadanie swoje: zdolny on, gdy mu nic w drodze zawadą nie stoi, przelecieć sześćdziesiąt tysięcy mil na sekundę! Atoli ile to przeszkód ważnych czeka go w drodze: oto pierwsza zaraz bliskość ziemi, dalej wyziewy unoszące się w powietrzu z tysiącem swoich rożnorodnych właściwości, a co najważniejsza nakoniec to owa niedoskonałość w środkach przewodzących prąd, która pociąga wielkie zwłoki dla iskry w jej wędrówce niedoścignionej. W takich warunkach może ona zaledwie przebyć na sekundę przestrzeń 8 — 15.000 mil, a trzeba chyba bardzo sprzyjającej pory i innych okoliczności, by chyżość ta wzrosła do 20.000 mil na sekundę. W każdym jednak razie, jak widzimy, biegun z niej znakomity, rywalizujący tylko z jedynem promieniem słonecznem. Przy telegrafach podziemnych lub podwodnych chyżość wspomniana jest znacznie mniejszą niżeli w wolnem powietrzu. Na każdy wypadek, śmiało przecie rzec można, że w powszedniem życiu prąd elektryczny nie potrzebuje żadnego czasu, by przebiedz jakąś odległość. Atoli co przy tem wszystkiem wymaga dłuższego lub krótszego czasu, to owa działalność pomocnicza ręki ludzkiej. Przypatrzmy się jej bliżej, a przekonamy się o prawdzie tych słów. Dwa rodzaje aparatów telegraficznych bywają obecnie powszechnie używane; aparat Morse'go, dawniejszy, i Hughes'a typowy, doskonalszy od tamtego. Na pierwszym potrzeba do odtelegrafowania depeszy z 20 słów czasu czterech, na drugim dwóch minut. Gdyby zatem dwie miejscowości np. Konstantynopol i Londyn, połączone z sobą były bezpośrednim związkiem, to byłaby możliwość, że w przeciągu pięciu minut stanie u celu depesza każda wysłana z Konstantynopola do Londynu lub odwrotnie. W obec dzisiejszego jednak urządzenia, czas ten bywa zawsze przekraczanym a co gorsza, dowiadujemy się ze statystyki, że zamiast dążyć do ulepszenia w tej mierze, przeciętna chyżość w przesyłaniu depesz zmniejszyła się znacznie w ostatnich latach. Wielu sądzi że każda nadana depesza bywa prosto na miejsce swego przeznaczenia wysełaną. Dzieje się tak czasami, ale niestety bardzo rzadko; po większej części depesza idzie tylko do najbliższej stacji, z tej dopiero posełają ją dalej, a zwykle znowu wpierw do jakiejś stacji, nim dojdzie na miejsce przeznaczenia. Otóż to właśnie kołowanie depesz sprawia najwięcej zwłoki w korespondencji telegraficznej. Telegram np. z Lizabony do Abo (w północnej Rosji) wymaga skutkiem tego co najmniej kilku dni, zanim stanie u celu. Gdyby zaś pomiędzy temi stacjami istniał związek bezpośredni, to bieg depeszy trwał by tam zarówno tyle czasu, ile np. ze Lwowa do Tarnowa. Innemi słowy, odległość sama przez się nie ma żadnego wpływu na szybkość w dostarczaniu depeszy. Dawniejszemi laty, gdy aparat Morse'go był w wyłącznem używaniu, starano się ile możności o to, by depesza była wysełaną wprost do stacji adresu. W tym celu musiano zawsze tam, gdzie nie było bezpośredniego związku, wzywać między stacje, by na czas potrzeby urządzono taki związek. Przy takiem postępowaniu była oczywiście ogromna strata czasu. Za to znowu dziś wyżwspomniane kołowanie depesz jest przyczyną ich spóźniania się i częstego okaleczania okresów lub zdań pojedyńczych w korespondencji. Bogiem jednak a prawdą, w wielu razach byłoby inaczej, gdyby tylko chciano rzetelnie. Dowodem na to fakt następujący. Gdy matka cara Mikołaja przebywała dla poratowania zdrowia w Neapolu, telegrafowano codzień do Petersburga biuletyn donoszący o jej stanie. W tym celu wszystkie międzystacje miały rozkaz, by co dzień o 3 godzinie z rana zporządzić związek między sobą bezpośredni. Urzędnik w Neapolu awizował o tym czasie Petersburg, w tej chwili otrzymywał przepisaną odpowiedź, a w pięć minut potem depesza była w Petersburgu. W czasach, gdy jeszcze nie było komunikacji telegraficznej z Aleksandrją przewożono depesze, przybyłe na statkach z Indyj, za pomocą parowców Lloyda do Tryjestu, a ztąd dopiero wysełano je do Londynu. Ponieważ pora przybycia parowców Lloyda była stałą, więc na oznaczony czas umówiony był związek bezpośredni Tryjestu z Londynem, i w kwadrans potem depesze były w stolicy Anglji. Że zaś w Londynie o więcej jak pół godziny później jest ranek, południe i zmierzch, niżeli w Tryjeście, więc zdarzało się często, że depesze przybywały do Londynu na pozór prędzej, niżeli były w Tryjeście nadane.

— Pewien młody chłopak, syn niezamożnego wieśniaka, ukończywszy szkółkę wiejską, poszedł do pobliskiego miasta, by uczęszczać tam do szkół średnich. Jak to się z dziećmi biednych rodziców zwykle dzieje, uczył się dobrze, i wszyscy nauczyciele lubili go bardzo, ceniąc w nim niestrudzoną pracowitość i gorącą chęć wiedzy. Razu pewnego jeden z profesorów darował mu dwie karty wstępu, jednę dla niego, a drugą dla którego z jego kolegów. Karty te przeznaczone były na filozoficzny odczyt, w jednej ze sal publicznych. Chłopak ucieszony podarkiem, gdy przyszedł dzień odczytu, nie mógł doczekać się wieczora, i jeno tem martwił się trochę, że pomiędzy kolegami swoimi nie znalazł ani jednego, któryby był przyjąć chciał kartę i pójść z nim na odczyt. Panowie studenci woleli spędzić wieczór na pogadance lub innej zabawie, niżeli słuchać przez kilka godzin pana profesora którego głos był im i bez tego dobrze znany. Gdy ze zmierzchem uderzyła godzina oznaczona, spragniony nauki młodzian udał się do sali, a że zwątpił już, by połowa skarbu, który miał w kieszeni, jak należy użytą była, więc szedł ztroskany i smutny. Wtem na rogu ulicy, nie daleko już budynku mieszczącego ową salę odczytową, ujrzał jakiegoś człowieka, stojącego w pozycji, jak gdyby na co oczekiwał, w ubraniu przypominającem komisjonera lub coś podobnego. „Ah — pomyślał sobie poczciwy studencik — temu z pewnością sprawi to przyjemność, gdy będzie mógł bodaj raz usłyszeć naszego poczciwego profesora. Jeśli chcecie co zprofitować, to chodźcie za mną“ — rzekł zatem do nieznajomego po krótkim namyśle. Zagadnięty odpowiedział uprzejmie: „Służę panu“ — i poszedł za młodzieńcem. U wstępu do sali chłopak oddał dwa bilety, obydwaj weszli do środka. Odczyt rozpoczął się. Chłopak nasz istnie połykał słyszane okresy, a choć wielu rzeczy nie rozumiał, pocieszał się przecie myślą, że gdy przyjdzie na uniwersytet, będą mu one wówczas pewnie jasne i zrozumiałe. Obok niego, nieruchomy jak posąg stał jego towarzysz zabrany z rogu ulicy. „O! to jakiś myślący i rozumny człowiek, choć tak biedno koło niego!“ — rozumował studencik patrząc nań od czasu do czasu. — „Ten mały chce pewnie mieć przewodnika, gdy będzie wracał do domu“ — myślał zaś drugi. Gdy odczyt się skończył, studencik przystąpił do nieznajomego towarzysza, i z uprzejmym uśmiechem rzekł doń: — „Tylko, proszę, nie dziękujcie mi; jestem zadowolony, skoro wam się odczyt podobał.“ Z temi słowy odwrócił się i chciał odejść. — „Za pozwoleniem — zagabnął go atoli nieznajomy, chwytając dość niedyskretnie za połę surduta — należy mi się od pana dziewięćdziesiąt centów, gdyż byłem przez półtora godziny na usługi pańskie.“ Niedoświadczony studencik nasz nieszczęsny zaprosił był nie kogo innego jeno posługacza na odczyt, który teraz dopominał się należnej zapłaty za czas stracony. Na dobitek złego biedny chłopczyna nie miał grosza w kieszeni, a posługacz żądał zapłaty co raz natarczywiej. Podniesiony głos posługacza zwabił wnet koło ciekawych słuchaczów i zajście to oryginalne stało się niebawem ogólnie znajome. Gdy doszło do prelegenta, ten pospieszył na miejsce sporu, i zrobił to, czego pewnie przedtem żaden z prelegentów nie uczynił: zapłacił za czas stracony na słuchaniu swego odczytu.

— Na wyspach Marquesas tatuownicy tworzą osobny cech, i bywają pomiędzy nimi mistrzowie tak biegli w swej sztuce, że dzięki tej zręczności swej i umiejętności stoją w wielkiem poważaniu naczelnikow plemienia jak n. p. modni krawcy u dandysów Paryża i Londynu. Przeróżne a rzeczywiście nader kunsztowne desenie i araaeski wyrysowują na skórze tego, który chce tym sposobem ozdobić się na zwyczaj krajowy. Rysują zaś spiczastym zębem rekina, zapuszczając w skórę pewną farbę niebieską, tak trwałą, iż nigdy nie znika ani blednieje. Procedura tatuowania, skutkiem towarzyszącego operacji bolu a potem następującego zapalenia, jest niesłychanie przykrą i długą; za każdym bowiem razem tylko mała część skóry może być tatuowaną. W ten sposób nieraz dwadzieścia lat minie, zanim taki olbrzymi naczelnik cały się utatuuje, poczem wygląda, pokryty cały arabeskami, jak wędrująca tapeta mięsna. Tatuownicy mają obszerne domy na prowadzenie swego rzemiosła. Każdy taki klient, pragnący ozdobić się tym sposobem, dostaje mały pokoik, gdzie poddaje się owym długim, bolesnym nader operacjom, podczas czego czuwa nad nim święte „tabu“ to znaczy, nie wolno dotknąć go nikomu, krom operującego mistrza. W istocie, ci tatuownicy muszą mieć podziwienia godną miarę w oku i zręczność niepoślednią we władaniu swemi tak prymitywnemi narzędziami; gdyż jeden zwrot niestosowny, nie dający się już naprawić, psuje całą piękność ozdoby, a wówczas za nic mozolna praca mistrza i cierpienia bolesne klienta. Nic dziwnego zresztą, że odbywa to tak skrupulatnie i uważnie; wszak to ich jedyne suknie, obliczane na całe życie, których nie można potem przerzucić, jak np. źle skrojonego surduta krawcowi europejskiemu! Proletarjat wyspy, nie mogący opłacic wielkich cen zręcznym mistrzom, zadowala się robotą miernych rzemieślników, pokrywających im skórę istnym chaosem krzywych linij, plamek niebieskich itp. Dla uzyskania wprawy mistrze najmują biedaków pomiędzy ploletarjatem, i na ich nieszczęsnej skórze ćwiczą się w rysunku, nie zostawiając ani płatka czystego. Biedacy ci zostają w ten sposób na całe życie oszpeceni.

— Wszystkie dzienniki włoskie były pełne opisów wyjątkowo świetnego wesela byłego ministra spraw zagranicznych hr. Emila Viscontego Venosty, mianowanego margrabią przy królu, z magrabianką Ludwiką Alfieri di Sostigno, siostrzenicą i spadkobierczynią Cavoura, który potomstwa ani krewnych płci męskiej nie zostawił. Panna Alfieri była jedną z najbogatszych partyj we Włoszech; braci nie ma, lecz tylko jednę siostrę niezamężną której choroba piersiowa przyszłości podobno nie rokuje. Dziś margrabina Visconti otrzymała tylko 3 miljony posagu, ale obie siostry po śmierci rodziców mają ich dostać po kilkanaście każda. Huczne to wesele odbyło się w feudalnym zamku San-Martino, dziedzicznej siedzibie Alfierich. Wszystkie znakomitości włoskie były na nie zoproszone. Gody obchodzono z średniowieczną wystawą. W jednej ze sal zamkowych były wystawione prezenta rodziny całej, jako też i króla włoskiego uczynione pannie młodej; jest to długi rejestr brylantów i najpiękniejszych wszelkiego rodzaju klejnotów. Ojciec ofiarował córce bukiet z soliterów owinięty w weksel na 100,000 franków na podróż po ślubie. Na podwórzu stały beczki z winem dla wszystkich wieśniaków ogromnych dóbr senatora Alfierego. Po ślubie religijnym i cywilnym i po uczcie, na którą pewne potrawy sprowadzano gotowe Paryża, państwo młodzi wyjechali do tej stolicy, gdzie Thiers ofiarował im swój pałac na czas ich pobytu.

— Biskupowi Wulfranowi i jego kapłanom żyjącym w ósmem stuleciu po Chr. powiodło się było, nakłonić do przyjęcia chrztu króla Fryzów, nazwiskiem Radbeda. Już miano rozpocząć podniosłą ceremonję, i król poganów wstąpił jedną nogą do wody, gdy mu nagle przyszła myśl do głowy, zapytać biskupa, gdzie też przebywają jego przodkowie. Gorliwy biskup odpowiedział mu bez namysłu, że jako pogani, smażą się w czeluściach piekieł. Wyobraźmy sobie teraz niemiłe zdziwienie biskupa i kapłanów obecnych, gdy na to król wyjął szybko nogę z wody i odparł: „Skoro tak, to wolę smażyć się wraz z nimi w piekle, niżeli żyć zbawionym pośród obcego mi tłumu.“

Treść Nr. 14.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).